Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Rok II Warszawa 1 stycznia 1934 r. Nr. 1

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Prenumerata kwartalnie: w kraju zł. 3.— za granicą zł. 4.—

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. w tekście zł. 1.— za tekstem 60 gr

Redakcja i Administracja: Warszawa, Grójecka 45 m. 15

Telefon 9-40-17 Konto P. K. O. 28.398

Redaktor przyjmuje codz. od 5 — 7 Pop.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca

TREŚĆ NUMERU: Na nowym progu. — Wytrwanie. — J. Surzyński: Od zagadnienia do człowieka. — Epoka. — Zdarzenia i uwagi. — Dyskusja: Reforma konstytucji, Koszary. — Rozpamiętywania. — Michał Orzęcki: Teza o nędzy. — Impas w rolnictwie. — Dr. E. Birzowski: Czy tragedja biologiczna. — Przedszkola w Polsce. — Sprawy społeczne. — Wydawnictwa.

NA NOWYM PROGU

Przetrwaliśmy jeszcze rok jeden ciężkiego przesilenia. Przetrwaliśmy, zaciskając swoje potrzeby. Przetrwaliśmy, zacieśniając potrzeby miljonów ludzi, którym warunki odmówiły wszystkiego prawie. Piwniczne izby, baraki dla bezrobotnych, wszelkiego rodzaju domy noclegowe są pełne i przepełnione. Zimno i mróz doskwiera większości niepracujących bezrobotnych. Na przednówku głód zajrzy do chat wiejskich — głód bez chleba i soli — niedostatek aż do niedojadania. Bezrobocie rośnie i żadna robota publiczna nie powstrzyma go wobec mrozów. A pomoc się kurczy. Kurczy się pomoc rządowa, wskutek braku gotówki w kasach, wskutek konieczności zmniejszania budżetu, kurczy się pomoc samorządowa, społeczna wobec postępującego zubożenia.

Przetrwaliśmy wśród warunków potwornych, sprowadzając do minimum najniezbędniejsze inwestycje, zmniejszając wydatki na oświatę, na naukę. Przetrwaliśmy kosztem ofiar naszej kultury, kosztem najistotniejszych wartości, na straży których winien stać każdy naród, każde społeczeństwo cywilizowane. Bohaterski wysiłek w postaci pożyczki narodowej świadczy, że przetrwanie to jest dziełem świadomości. Ale nietylko przetrwaliśmy.

Zdobyliśmy się na próby zwalczania bezrobocia. Próby małe — nieznaczne, coś, co można byłoby, jak dotąd, podciągnąć chyba pod nazwę — doświadczeń, próby, które nie oddziałały jako czynnik życia społecznego — ale znaczenie ich psychiczne istnieje. Od wyczekiwania i cofania przeszliśmy do walki. Pierwsze podjazdy w roku ubiegłym w postaci prac funduszu bezrobocia, wyruszyły na harce i wykazały, że wróg nie jest niepokonalny.

I nietylko w Polsce te harce się rozpoczęły. Znacznie dalej wyruszyły podjazdy czynów w innych krajach. Italja, Stany Zjednoczone, Niemcy, Austrja, Anglja, nie mówiąc już o Republice Sowieckiej — wszystko to coraz wyraźniej porzuca beznadziejne wyczekiwanie na lepsze czasy, na koniec kryzysu, na żywiołowy nawrót okresu pomyślności — wszystko poczyna się skupiać w sobie, opracowywać plany, mobilizować siły, by poddać woli to, co dotąd uważano, jak pogodę, za niepodlegające żadnym nakazom, co dotąd szło, jak zaprzęg bez wędzidła i łódź bez steru.

Ale jeżeli porównamy to, co zrobiono poza granicami naszego kraju z początkami ledwie zaznaczającemi się u nas, to musimy stwierdzić z żalem, że jesteśmy wtyle o tę ogromną odległość, jaka dzieli kiełkowanie myśli od wcielania jej w życie. Między okresami temi jest przepaść, którą właśnie wypełnić ma twórcza wola.

U nas jest namysł i rozwaga wśród tych, którym dane jest planować, a coraz pogłębiająca się, coraz beznadziejniejsza rozpacz w masach. U nas jest wahanie się i wybieranie drogi przez tych, którym wolno stanowić i dysponować i beznadziejność oczekiwania wśród tych, którzy najboleśniej ciężar przesilenia dźwigają. W innych krajach drogi wytknięto i do współtwórczości powołano wszystkich. I dlatego tam jest więcej konsolidacji. Można bowiem znosić wszystkie klęski w świadomości, że do lepszego jutra się idzie. Można się nawet woli własnej wyrzec, jeżeli się wierzy, że wola czyjaś prowadzi ku jakiemuś celowi — jasno wytkniętemu — okazanemu pobieżnie.

I nie chleba nawet tak nam trzeba — jak owej świadomości dążenia. Musimy, patrząc w te za-

straszające cyfry dzieci, pozbawione dziś nauki szkolnej, wiedzieć, że w ciągu roku ilość ich zmniejszy się o 100.000 — w ciągu dwóch — o dalsze sto, a po czterech latach ani jedno dziecko bez szkoły nie zostanie. Musimy wiedzieć, że na przyszły rok połowa ludzi w barakach gnijących moralnie i materjalnie, podniesiona zostanie bodaj do najskromniejszych mieszkań, że po dwóch latach, ta hańba zostanie zlikwidowana. Musimy wiedzieć, że w przeciągu roku o jedną czwartą zmniejszy się ilość bezrobotnych i widzieć plan, wedle którego w ciągu określonej ilości lat bezrobocie to zniknie zupełnie, że gruźlicy wszyscy znajdą się w sanatorjach. Musimy mieć plan przed sobą — plan, plan i jeszcze raz plan życia, plan ulepszeń, które będziemy robili wbrew wszelkim kryzysom i przeszkodom. I niech wykonanie tego planu wymaga napięcia wszystkich sił i wszystkich nad-możliwości — jeżeli plan będzie realny, to brak fizycznych sił zastąpi zapał, który ogarnie wszystko, co tylko żyje w Rzeczypospolitej i stworzy cuda. Cudem jest Polska niepodległa — niech powstanie cud jeszcze większy — Polski odrodzonej.

I stając w obliczu roku nowego, zdając sobie zupełnie jasno sprawę z tego, że znikąd nie przyjdzie poprawa bez natężenia woli, że żadna konjunktura nie jest w stanie przywrócić pomyślności światu, że nic nie zwiastuje naszej mrocznej, ponurej rzeczywistości światła zzewnątrz — rzucamy pytanie, czy ten nowy rok rozbudzi wolę? Czy radosna twórczość stłamszona przez rozszalały kryzys odrodzi się jako ten feniks, przetopiona ogniem myśli i przeciwieństw? Czy ten rok powoła nas wszystkich do mocnego czynu, do jakiegoś kolosalnego wysiłku? Czy ten nowy rok da nam cel, da nam świadomą walkę?

My o ten plan walczyć będziemy, jak walczyliśmy dotąd. Będziemy się go domagali z całą stanowczością, z całą natarczywością. Będziemy mobilizowali myśl ludzką w tym kierunku. I takie jest nasze zadanie.

I — jesteśmy pewni, że jeżeli znajdziemy poparcie wśród szerokiego ogółu ludzi myślących, jeżeli uda nam się rozbudzić wśród tego ogółu dążność wielką do planowej walki z życiem — to ten plan skrystalizuje się bez względu na to, czy go ktoś chce, czy nie chce. I to jest zadanie tych, którzy skupiają się około naszego pisma. Stajemy z żądaniem nie rozstrzygnięć dogmatyczno - ustrojowych, ale jasno sprecyzowanych planów walki z klęskami naszego życia.

Taki jest nasz program i nasza droga. Nie dlatego jesteśmy bezpartyjni, że pragniemy wypośrodkować nowego coś z zasad istniejących ugrupowań — ale dlatego, że chcemy realizacji potrzeb dzisiejszych — nie zaś koncepcyj oderwanych, że przed naszemi oczami stoi nieodparty obowiązek pomnożenia sił człowieka i powiększenia jego szczęścia. Dlatego mamy odwagę rzucić wezwanie — idźcie z nami!

WYTRWANIE

— „Dlaczego oni jeszcze nie rozbijają?"
— „Dawno powinniby rabować sklepy".
— „Jak dalej tak potrwa — wyjdą na ulicę".

Dwugłosy współczującego oburzenia i odzew strachu pada, gdy tylko ciężki oddech mrozu poruszy nutę bezrobocia.

Organizacja poczyna działać, rozporządzenia i okólniki niby pompa ssąca wydobywają przeróżnemi sposobami pieniądze, aby tylko zdążyć zanim zima ostatki cierpliwości z człowieka wyciśnie i rzuci go sił resztą na jakąś śmiertelną walkę z porządkiem społecznym.

Zapełnić żołądek, zapchać do krzyku skore gardła, tłoczyć w nie zupę, zupę, rzeki zupy. Szał dożywiania ogarnia stolicę. Dożywiają organizacje społeczne, agendy instytucyj rządowych lub półrządowych, dożywia wojsko i szkoła. Kuchnie dla bezrobotnych w coraz innych punktach miasta wystrzelają wesoło dymem w mroźne niebo.

Warszawa żywi tysiące pozbawionych pracy. Dziesiątki pociągów wożą produkty, kuchenne warsztaty przerabiają je na strawę, obliczoną na skutek rozporządzenia według przepisowej ilości kalorji i stosownie do miary sytości. Dziś kapuśniak z kartoflami, jutro grochówka z boczkiem, pojutrze krupnik. I tak co tydzień, ściśle tego samego dnia, tysiące rąk o oznaczonej porze podniosą w górę łyżki z taką samą zupą, takusieńką, jak i w kuchni Nr. 5 i Nr. 18 i Nr. x i pod nazwą „najbiedniejszym" i pod szyldem „wyznanie", a zawsze i wszędzie z etykietą „zupa dla bezrobotnych", dla tych właśnie pod dachem kuchen skoszarowanych żołnierzy miast obrony kraju czy walki o zachowanie wolności — żołnierzy nędzy, armji niepotrzebnych. Długie ich szeregi wystają przed okienkami kuchen, w lepiej zorganizowanych, ogonek posuwa się szybko, lub zgoła znika z ulicy, wewnątrz budynku ustawiając się skręconym wężem. Ale i w tych najlepiej prowadzonych, przy dużym natłoku pobierających obiady, czas długi traci człowiek na czekaniu zawsze bezczynnem i zawsze jednakowem, a beznadziejnie, z tą jedną, jedyną i nużącą myślą, że... „dziś kapuśniak oto, jutro grochówka z boczkiem, pojutrze krupnik"... myślą, co się w stroskanej głowie kołace, obija o puste ściany czaszki, na których jeno głód ciemne rysuje obrazy.

I choćby z jednej strony występowało najczystsze serce i ofiarność poświęcająca się, chociażby dożywianie owo góry chłonęło pieniędzy, a wiedza dała kontrolę jego jakości— coraz głębiej i głębiej nuda, upokorzenie, beznadziejność nieczynnych rąk niszczącą swoją pracę w duszy bezrobotnego rozpościerają.

Nie rodzi się w tej atmosferze spokój, przeciwnie, ferment rośnie wokół jednego ciągle zagadnienia, jakie to są te obiady. Obiady jednakie dla wszystkich, zdrowych i chorych, dorosłych i wątłej młodzieży, i starców steranych. A każdy wszak ze swych garnkiem przychodzący po obiad, to świat cały, to rodzina, to ułomność, choroba, herlactwo, — to godność, duma i bunt, — to brutalstwo lub też subtelna łagodność.

Krąg cały wad. zalet, zainteresowań i potrzeb, przyzwyczajeń, przesądów wrośniętych nieraz głęboko w psychikę, które tylko wytrwałą pracą nad danem indywiduum ludzkiem zastąpić można nawykiem kultury. Krąg ten zamyka rodzina przez masowość pomocy rozdarta, bowiem każdy z jej członków nieomal gdzieindziej obiady pobierać musi. Dorośli w Obywatelskim Komitecie Pomocy Społecznej, dzieci małe w kuchniach Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, szkolne dzieci w szkołach. I w taki oto niewinny sposób niedostrzegalnie z początku nadgryza się spoistość rodziny, rozbija więź społeczną i dzieli społeczną masę na luźne zgorzkniałe jednostki, które już łatwiej, bez hamulców rodzinnych. wpadają bardzo często w sidła przestępstwa.

W sytuacji, w której wysiłek społeczny z ogromnym nakładem pieniędzy i pracy produkuje masowe świadczenia — wartość jego roztapia się w zakwasie niezadowolenia i starć przeróżnych indywidualności, nie mogących dostosować się do jednej dla wszystkich miary.

Koniecznem jest tu odnalezienie człowieka, zajęcie się jednostką, jako składową częścią rodziny, czemś żywem, co czuje i cierpi, lecz i radować się i tworzyć rade, co władne jest być spółczynnikiem własnego podźwignięcia się, a zasłużyć potrafi nie na koryto jeno, choćby najlepszą napełnione strawą, ale na godność stania się świadomym i czynnym członkiem społeczeństwa. To kontury polityki, pracy społecznej, wytknięcia kierunku, który już, już zdaje się zyskiwać uznanie.

Ale idźmy z czasem. Moda na bezrobocie przemija, zapał żywienia stygnie, coraz mniej kuchen coraz wcześniej kończy się okres obiadów i wciąż coraz później rozpoczyna jesienne dożywianie. Dzieci wielkim nakładem pieniędzy wysyłane na kolonje i półkolonje, od powrotu tydzień za tygodniem i miesiąc za miesiącem czekają codziennej strawy. Naprożno okres masowego dożywiania odsuwa się z zimy coraz głębiej, aż do ostatniej chwili wytrzymałości. Twarzyczki bledną i chudną wątłe ciałka wtedy już, kiedy tłustemi literami drukują się kolumny cyfr sprawozdania z działalności letniej, która oto tyle i tyle kilo nadwagi u dziatwy przyczyniła, tyle zdrowia i radości w życie małych wsączyła.

Jesień, czas wzmożonej energji i pracy dla posiadających ją—jesień, miesiąc strachu o brak najuboższego zarobku, choćby w ogrodach, choćby ze sprzedaży pęczków jarzyn, czy koszyczka kalafiorów, jesień, pora biedy, groźba eksmisji; włos na głowie jeży, kiedy tysiące trosk załatwiać trzeba, kiedy tysiąc rzeczy dobrych i rzeczy ciekawych oczekuje w szkole, na kursach dokształcających, w poradniach instytucyj opieki społecznej, oświaty, jesień rozdawca darów kultury ze strony tych, którzy jej skarby właśnie tym nie mającym pracy udzielać pragną, aby wybrnęli, aby zjędrnieli na duszy, aby ich przymusowa bezczynność nie zgięła i nie wdeptała w błoto. Ta jesień oto spotyka głodnego człowieka i każe mu czekać i żąda spokoju wtedy, gdy trzewia same się niepokoją, a głód do gniewu i buntu pobudza. O jakżeż wtedy trudną i beznadziejną jest praca, jak każdy wysiłek społeczny na mur niechęci trafia, jakżeż gorzkiej ironji pełne są głosy, poco kultura, poco dobroć i uczynność, kiedy to zło największe — głód znosić trzeba. I pada i zrywa się do nowych rzutów i rozbudza naprzemian i z wiatrem się sypie, rozwiera cała praca nad podźwignięciem człowieka.

Kiedy z perspektywy roku, lepiej lat kilku, spojrzeć na to zmaganie się świata pracy i masą oddaną na pastwę bezrobocia, spostrzega się jedno stale i niezmiennie powtarzające się zjawisko mijania pomocy materjalnej z pracą kulturalną, tak jakgdyby nie człowiek był jednej i drugiej celem, lecz żołądek i dusza osobno. A spojrzenia te są nierzadkie. Każdy świadomy swej pracy społecznik z najwyższym niepokojem śledzi ów potężny i ślepy prąd podziału wysiłków na sprawy, bez uwagi na ludzi. Niepokój rodzi gorycz, gorycz zniechęcenie i oto powstaje zjawisko wtórne — miast radosnego działania — rozkład i rozkład już nietylko w środowisku tych, których ratować trzeba, ale u tych odważnych, u tych, którzy śmiało myślą i ręką pomocną przetworzyć mogą zło w czyn społeczny a rozpad w scalenie.

Czy nie czas doprawdy z tem skończyć, zanim jad przewierci rdzą najlepsze talenty, nim głodna masa zniszczeje i na dno się stoczy, skąd droga już tylko do kratek.

Czy nie czas wreszcie sprząc pracę społeczną tak w jedno ogniwo, aby wszystkie jej rodzaje uzupełniając się wzajem, miały na oku człowieka, jego rozwój i zachowanie, nie zaś jedynie ratunek ścierwa ludzkiego? Potrzebny jest plan, potrzebna jest ciągłość pracy, nie rozrywana okresami niebezpiecznej zimy i łagodzącego ciepłem lata, ale sprzęgnięta w sobie potrzebami człowieka, cennego państwa i społeczeństwa ponad wszystko.

Marja Uziembło.

Można sobie żartować z piłki nożnej, jako z narzędzia polityki, ale — faktem jest, że 30 tysięcy widzów w Berlinie wysłuchało hymnu narodowego polskiego stojąc. I faktem jest, że tych trzydzieści tysięcy widziało wtedy, że pomiędzy dwoma sąsiedniemi krajami panują stosunki takie, w których obowiązują formy grzeczności. To też z okazji otwarcia wystawy wschodniej już nie słyszeliśmy dawnych zapewnień o bojowej gotowości Niemiec, ale czytaliśmy stwierdzenie, że wystawa nie ma na celu wzbudzania momentów rewizjonistycznych, że chodzi o utrzymanie niemieckiego dorobku kulturalnego. I można zapewniać, że pod podszewką nosi się po tamtej stronie granicy coś innego. Ale faktem jest, że dotąd na licu nic podobnego nie widziano. Jeżeli się powtarzać będzie w dalszym ciągu zapewnienia pokojowe, choćby nieszczerze, to z czasem przejdą one w nałóg i stać się mogą istotną prawdą. Więc wytwarzanie nawet pozorów pokojowości posiada swą wartość i to wartość niepoślednią, której lekceważyć nie należy. Bardzo nam niemiło, że te pozory wytwarzać możemy dopiero wtedy, gdy rząd hitlerowski objął władzę, że nie mogliśmy nic podobnego osiągnąć ani za czasów socjalistów, ani za czasów katolickiego centrum

A stąd nauka, że nie wszystko jest postępem, co się postępem zowie i nie wszystko, co reakcja przedsięweźmie, jest reakcyjne. Strach przed przeciwnikami politycznymi we własnym kraju jest nieraz mocniejszym czynnikiem reakcji, niż sama reakcyjność.

Wszystko to nie zwiększa naszej sympatji dla hitlerymu.

Od zagadnienia do człowieka

W ostatnim numerze „Życia dziecka" znajdujemy niezmiernie ciekawy artykuł o konieczności rozszerzenia sieci opieki położniczej na wieś. Dzieci tam rodzą się bez fachowej pomocy. W najlepszym razie obecna jest „babka" — najczęściej tylko sąsiadka „znająca". O zachowaniu jakich wymogów higjeny, jakichkolwiek środków bezpieczeństwa niema mowy. Wszystko jest zdane na „bożą wolę". Skutki — to katastrofalny stan zdrowotny ludności wiejskiej, potworne rozpowszechnienie wszelkiego rodzaju chorób kobiecych, horendalna śmiertelność niemowląt. Artykuł zawiera ciekawy projekt oparcia finansowego tej sieci położnych na środkach materjalnych samej wsi, bez poważniejszego obciążania Państwa czy samorządu i wskazuje, że placówki położnych mogą objąć opiekę nad higjeną wsi wogóle.

Z całą gotowością przyznajemy, że i opieka higjeniczna nad ludnością wiejską jest niezbędna. Przecież tam już, nie mówiąc o wenerji — tam, na świeżem powietrzu, w warunkach, o których napróżno marzy mieszczuch, gruźlica zbiera obfitszy plon, niż po najhaniebniejszych zaułkach Łodzi.

To wszystko prawda. Tylko czy wolno się ograniczać, mówiąc o opiece nad ludnością wiejską do zagadnienia niezmiernie ważnego — opieki higjenicznej? Czy należy z niej czynić samodzielne placówki? Czy istotnie ludność wiejska jest o tyle uświadomiona, że zdaje sobie sprawę z ich konieczności? Czy po pomoc do nich się zgłosi? Czy z niej będzie korzystała?

Mamy wrażenie, że ten projekt, jak i wiele innych, jak i sporo projektów już podjętych na wsi podchodzi do zagadnienia zbyt jednostronnie i dlatego zdąża do wytworzenia ośrodków — bardzo pożytecznych, ale takich, które same w oderwaniu od innych poczynań nie przyniosą spodziewanych korzyści.

Cóż może zrobić położna rzucona samotnie? Będzie z natury rzeczy udzielała pomocy w wyjątkowych wypadkach porodów, będzie przyjmowała zgłoszenia o rady. Tych rad będzie udzielała według pewnego schematu bez dokładnej świadomości, czy ze względu na warunki moralne, materjalne, rodzinne będą one naprawdę zastosowane i w jakim stopniu. Nie zdoła ona prawie nigdy sprawdzić, czy zalecenia jej są wypełniane należycie. A przecie niewypełnione, albo co gorzej wypełnione opacznie, nie pomagają — a skoro nie pomagają — więc zdepopularyzują tylko osobę radzącą, którą i tak zniesławiać będą jej lokalne konkurentki. Na wieś trzeba iść, naszem zdaniem, z czem innem. Tam trzeba podążać nie by załatwiać jakieś „kwestje", rozstrzygać jakoweś „zagadnienia" — tam trzeba iść z pomocą człowiekowi — z pomocą wszechstronną, z pomocą, podnoszącą skalę jego życia całego, i owocność wszystkich jego wysileń.

Spójrzmy tylko na naszą wieś. Panuje tam nędza — nędza chroniczna. Człowiek sobie skąpi nafty, soli, cukru, zapałek. Na przednówku, od marca począwszy, — gdzieindziej już od stycznia, — nawet brak mąki. Potem i o ziemniaki trudno. Dziś o tem się krzyczy — przed wojną relacje ze wsi mówiły to samo po cichu. Powtarzamy — stan to jest chroniczny.

Lubimy każdą rzecz rozstrzygać zasadniczo. Powstała teorja „kwestji agrarnej", Zdecydowaliśmy i uwierzyli, że całą odpowiedzialność za tę nędzę wiejską ponosi rozdrobnienie własności ziemskiej — karłowatość gospodarstw, stało się to dogmatem dla naszej polityki rolnej. Otóż śmiemy powiedzieć otwarcie, że to jest nieprawda. Za biedę wsi odpowiedzialność spada zgoła na co innego! Przyczyną jej jest nieporadność i ciemnota naszego wieśniaka! Nie umie on gospodarować, nie umie pracować. Nie umie uprawić kawałka ziemi. Nie wie, co na nim uprawić. Wywozimy deficytowo żyto, ale za to sprowadzamy z zagranicy rumianek, kwiat lipowy i inne zioła lecznicze. Brak nam skór baranich, brak wełny, brak nasion oleistych. Masowo sprowadamy jabłka, śliwki i inne owoce — a w chłopskich sadach rodzi się — poślad! W lasach naszych marnieją setki tonn jagód, grzybów. Przykładów chyba dość.

A jeżeli chodzi o rolę — to przecie notorycznie znany jest fakt, że u nas z hektara zbiera się 13 q pszenicy przeciętnie — kiedy już przy postępowej uprawie wielkorolnej zbiory te dochodzą do 47 q, że uprawa ogrodowa mogłaby jeszcze podnieść wydajność ziemi. Mając takie plony, rolnik, który nb. ziarna sprzedaje bardzo mało, nie potrzebowałby oszczędzać na jedzeniu, ani na żywieniu inwentarza.

A hodowla? Toż nasza krowa daje około 1400 litrów mleka rocznie, kiedy można ją doprowadzić przy umiejętności hodowli do 4, 6, 9 i więcej tysięcy litrów . Kura daje 80 jaj — a może ich dawać 300.

Rolnik nasz zatem może mieć czterokrotnie wyższe plony i sześciokrotnie większy pożytek z artykułów hodowlanych niż obecnie.

Dodajmy do tego niesłychany chaos handlowy, jaki panuje na wsi, straszliwy wyzysk kredytowy, rozpiętość cen pomiędzy tem, co się sprzedaje a pomiędzy tem, co się kupuje — a będziemy mieli obraz indolencji gospodarczej, tam zupełnie wszechwładnej. Tu jest przyczyna nędzy. Nie trzeba jej szukać w stosunkach materjalnych, ale w niesłychanie niskim stanie umysłowym i moralnym naszego włościaństwa.

Rzućmy okiem na sytuację prawną. I tu znajdziemy chaos niesłychany. Z jednej strony pieniactwo, przekraczające wszelkie granice zdrowego rozsądku — z drugiej — zupełna nieumiejętność posługiwania się ustawodawstwem. Taki dekret, jak oddłużeniowy, spotykają się nietylko z niezrozumieniem, ale z oporem, z sabotażem w niektórych miejscach — bo ludność tego zupełnie nie rozumie. Nigdzie znachorstwo prawnicze nie zbiera tak obfitego żniwa, jak na wsi. Umiejętność wystylizowania bylejakiego podania — już czyni z człowieka autorytet. A ten zupełny brak orjentacji jest wyzyskiwany nietylko przez jednostki prywatne, ale i przez całe stronnictwa, których sekretarjaty przedewszystkiem znachorstwem prawniczem się zajmują. Więc i tu niezbędna jest pomoc fachowa, gruntowna, nie spekulująca na popularność, ale na podniesienie człowieka.

O zdrowiu w tych chałupach, które są hańbą cywilizacji współczesnej, mówiliśmy. Dodajmy do tego fakt, że chłop nasz pracuje 97 — 200 najwyżej dni w roku.

Robi się na naszej wsi dość dużo. Pracuje i przysposobienie gospodarcze i kółka młodzieży wiejskiej i kółka rolnicze i spółdzielczość. Nauczyciele obarczeni są obowiązkową pracą oświatową. Są i lekarze i urzędy sanitarne. Samorządy czasem organizują pomoc prawną. Ale wszystko to pora się z pewnemi „zagadnieniami", z pewnemi „kwestjami". Może najgłębiej wchodzi w życie wsi spółdzielczość, jeżeli ją postawiono tak, jak to uczynił ks. Bliziński w Liskowie. I właśnie ten brak koordynacji, brak indywidualizowania sprawy czynią to, że skutki tych wysiłków są zbyt małe, niżby się tego można było spodziewać.

Na wieś naszą trzeba iść z opieką indywidualną, która wejdzie do każdej chałupy, zetknie się z każdą rodziną, oceni siły i możność każdej jednostki i zastosuje wszystkie środki, jakie są do rozporządzenia. Plan powinien być opracowywany w stosunku do każdej rodziny, powiadamy i obejmować zarówno założenia kupy kompostowej, jak wietrzenie izby i wyniesienie z niej niepotrzebnych sprzętów, zaopatrzenie w cegłę dla budowy komina, ogacenie obory, żeby krowy nie marzły, boisko sportowe i czytelnię i świetlicę — i oczywiście pomoc dla położnic i wskazówki dla matek karmiących i leżakowanie dla gruźlików.

Jesteśmy przekonani, że nie środki pieniężne, ale właśnie pobudzenie ośrodków aktywności potrzebne jest na naszej wsi.

A wtedy pieniądze na tego rodzaju akcję same się znajdą — znajdą się z nadwyżek dochodów, jakie w najbliższych latach otrzymają gospodarze. Wtedy nie trudno będzie pomyśleć o organizacji ubezpieczenia zdrowia i ubezpieczenia kulturalnego. Wtedy nietrudno będzie choćby i przez opłaty za wszelkiego rodzaju poradnictwo utrzymać środki opiekuńcze na wysokiej stosunkowo stopie.

Początek oczywiście nie będzie łatwy. Inicjatywa, naszem zdaniem, powinna należeć do jedynej instytucji, która zdołała rozwiązać sprawę opieki indywidualnej — do Obywatelskiego Komitetu Opieki Społecznej w Warszawie. Do współdziałania winny być zaproszone takie instytucje, jak Zjednoczenie Spółdzielni Rolniczych, Związek Kółek i Organizacyj Rolniczych, Związek Nauczycielstwa Polskiego, a może i Izby lekarskie i adwokackie, względnie społeczne zrzeszenia Adwokatów i Lekarzy.

Nie można myśleć narazie o objęciu całego Państwa siecią tego rodzaju organizacyj. Trzeba znaleźć środki na stworzenie narazie początkowo kilku placówek doświadczalnych, które wypróbują metody i wyszkolą pierwsze kadry personelu.

Im prędzej do tego się zabierzemy — tem lepiej. Sprawa jest ważna. Odmiejszczy ona nieco naszą inteligencję i zbliży ją do wsi — a dla pełnowartościowych ludzi da pole pracy szerokie i piękne. Da i kawałek chleba, jako drobną część tego, co się przysporzy ludowi rolnemu.

J. Surzyński.

Czas odnowić przedpłatę.

Epoka

Z końcem ubiegłego roku zawiesił Józef Wasowski swe wydawnictwo „Epoka". Tygodnik ten redagowany był starannie, uczciwie, poważnie. Wśród współpracowników liczył najwybitniejszych pisarzy polskich. Poruszał tematy żywe, ważkie.

Pomimo wszystko, musiał zawiesić wydawnictwo — z braku prenumeratorów.

„Epoka" miała twarz własną, posiadała swój wyraz. Wcale nie mamy pretensji do jej przeciwników, że nie garnęli się do niej. Ale napewno „Epoka" miała więcej niż dwa tysiące przyjaciół— miała ich całe legjony... ci zaglądali do jej szpalt w kawiarni — a może nawet wcale nie zaglądali.

Ciężkie warunki materjalne doby dzisiejszej bynajmniej nie tłumaczą tego zjawiska. Restauracje są pełne — pełne są kawiarnie. Najbiedniejszy przecież ma tę złotówkę, na to, co uznał za przyjemniejsze, czy pożyteczniejsze. To jest co innego. To upadek wiary w słowo drukowane.

Przecież pismo nie jest tylko dziełem redaktora i publicystów, którzy z nim współpracują. W tej samej mierze jest i musi być ono dziełem czytelników. Pismo rzuca myśli, rzuca pewne ideje, które załamują się w duszach ludzkich. Czy wróci ich odbicie do redakcji w postaci listów, czy artykułów, czy w postaci ech rozmów prowadzonych gdzieś, choćby bardzo daleko — to bodaj jest rzeczą obojętną. Myśli gdzieś rozbudzone wytwarzają wokoło atmosferę, która oddziałuje na skład redakcji. Echa powrotne idą daleko — jak te fale wody poruszonej przez kamień rzucony, rozchodzą się i dokonują zmian, przeobrażeń tem głębszych, że niedostrzegalnych nieomal. Przez sam fakt czytania, przez sam fakt myślenia na tematy w piśmie poruszone, czytelnik staje się jego współtwórcą.

Upadła świadomość tego wśród nas. Upadła. Rozpowszechniło się mniemanie, że dziennikarz, publicysta służy zawsze jakimś celom ubocznym, że jest megafonem do rozszerzania opinji, potrzeb nych dla karjery tych czy innych ludzi lub grup.

Jak złamać te nastroje? — jak je przezwyciężyć? Jak wpoić wiarę, że istotnie, do głębi duszy wierzymy w to, co podajemy? W jaki sposób dać rękojmię, że nie stawiamy fundamentów do niczyjej karjery, mandatów, urzędów — tylko wiernie pełnimy służbę „człowiekowi w Polsce" — oto pytanie, które podniosło się w całej sile na smutną wieść, że uczciwe, poważne, w całem tego słowa znaczeniu zacne pismo, przestało wychodzić?

Będziemy trwać. I mamy to przeświadczenie, że jeżeli odrodzimy w społeczeństwie polskiem zaufanie we współpracę czytelnika z pisarzem — tem samem stworzymy warunki, w których i „Epoka" będzie mogła odnowić swą chwalebną pracę.

Będziemy trwać. Bo jeżeli ta wiara się załamała — konieczną jest rzeczą ją odrodzić. W Polsce i na świecie trzeba wiele myśli — trzeba wiele twórczości, trzeba wiele woli ze strony każdego człowieka, każdej jednostki. Są tacy, którym dane jest reprezentować myśl twórczą społeczeństwa — i są inni, których obowiązkiem jest, wśród „nieznanych obywateli" tę myśl wykuwać. Wśród nich jesteśmy.

Zdarzenia i uwagi

WALKA Z NACJONALIZMEM.

Sowiecki centralizm zwraca się coraz mocniej przeciwko separatyzmowi narodowościowemu poszczególnych republik objętych związkiem. Wykluczenie z partji komunistycznej i aresztowania wśród dygnitarzy ukraińskich, posądzonych o tworzenie partji niepodległościowej, surowa „czystka" na całej Ukrainie a wreszcie rozpoczynająca się czystka na Białej Rusi — stanowią etapy tej walki, której niestety poświęca się u nas zbyt mało uwagi.

Wśród rozbudzonych narodowości w ciągu piętnastu lat pracy kulturalnej powstała coraz rosnąca warstwa inteligiencka, która wszędzie jest promotorką ruchów narodowościowych. Ta warstwa nie może pogodzić się z obcą gospodarką w swoim kraju i komunizmowi wszechrosyjskiemu przeciwstawia swój własny... komunizm narodowy: sowiety wytworzyły same siły, które będą rozsadzać ich państwo od wewnątrz. Czy te siły gotowe będą sprzymierzać się z „burżuazyjnemi" potencjami to jeszcze wielka kwestja.

AKCJA PRZECIWŻYDOWSKA W NIEMCZECH.

Rząd hitlerowski przeprowadza obecnie całkowite „urasowienie" dziennikarstwa. Żydom, a nawet żonatym z żydówkami wolno będzie pracować jedynie w pismach, wychodzących nie częściej niż raz na kwartał i to najwyżej w 500 egzemplarzach. Nadto wprowadzone zostają postanowienie o odżydzieniu miast według których żydzi będą mogli mieszkać tylko w określonych strefach osiedleńczych. Numerus clauzus obowiązuje już w szkołach sztuk pięknych. Mamy zatem do czynienia z zupełnie planowem wytępieniem żydów, które obejmuje już wsystkie dziedziny życia i to wtedy, gdy cały szereg innych krajów obowiązują umowy o mniejszościach narodowych.

Jest rzeczą zdumiewającą, że przeciwdziałanie żydów jest stosunkowo bardzo słabe, że protesty, które żywiołowo wybuchały początkowo, skończyły się na słowach. Akcji w większym stylu przeciwko Hitlerowi i jego sposobom rządzenia brak — natomiast w sferach wielko kapitalistycznych jest sporo kumnktatorstwa i dążenia do kompromisu.

POGŁOSKI O SOJUSZACH.

W osatnich czasach rozeszły się pogłoski o sojuszach obronnych zawartych z jednej strony przez Stany Zjednoczone i Rosję Sowiecką, z drugiej zaś przez Francję i Rosję. Pgłoski te nie są jeszcze należycie potwierdzone. Samo ukazanie się ich przecie jest niezmiernie znamienne. Akcja Japonji w Azji i akcja Niemiec w Europie wytwarzają stan naprężenia, którego nie sposób załagodzić bez przeciwstawienia coraz wyraźniej grożącej przemocy — siły. Tę siłę trzeba stworzyć. Świadomość tego jest coraz jaśniejsza i zywsza. Być może, że wiadomości o już zawartych przymierzach są fałszywe. Nie ulega przecież wątpliwości, że istnieją czynniki, dążące ku ich zawarciu i że czynniki te działają coraz energiczniej. System przymierzy przedwojennych znów się odradza.

PIĘTNASTOLECIE POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO.

Piętnastolecie powstania w Poznaniu kazało całej niemal prasie przypomnieć sobie jeszcze raz ten moment dziejowy, może najsłabiej dotąd oświetlony w całości naszych walk niepodległościowych. I oto wychodzi na jaw, że i tam, jak i w całej Polsce było stronnictwo czynu, stronnictwo dążące do zdobycia niepodległości z bronią w ręku i inne stronnictwo kompromisu. Przypominamy sobie te zdumiewające odezwy, wydawane w Poznaniu o gromadzeniu sił przeciwko „legjonistom", o tem, że ze strony: „legjonistów" żadne „niebezpieczeństwo" miastu ani jego obywatelom nie zagraża. Badania uwypuklają coraz wyraźniej rolę czynników, które wszelkiemi siłami starały się nie dopuścić do tego, byśmy sobie samym zawdzięczać mieli wolność — lecz otrzymali ją w darze. Dowiadujemy się, jak ograniczano potem wysiłki zbrojne do samego Poznania, jak niedopuszczono do rozszerzenia się powstania na Pomorze.

Wszystko to jest niezmiernie pouczające i bodaj czy ma tylko teoretyczne znaczenie. Świadomość prawdy jest potrzebna w polityce.

PROGRAM FUNDUSZU PRACY.

Naczelny Komitet Funduszu Pracy ustalił swój program już w dniu 21 grudnia na podstawie przeprowadzonego uprzednio porozumienia z województwami. Już sam ten fakt mówi wiele. Poczynamy pracować z jakimś planem, do wykonania którego rezerwuje się niezbędny na przygotowanie czas. Na zatrudnienie bezrobotnych przeznaczono 60 miljonów złotych.

Największa pozycja to budowa dróg (18,5) miljonów złotych. Już mniejsze kwoty pójdą na roboty melioracyjne, kanalizacyjne, kolejowe (które zasilone będą z Funduszu Inwestycyjnego) — wreszcie na budownictwo robotniczych domków zostało 2,5 miljona złotych.

Nieraz już zastanawialiśmy isę fragmentarycznie nad sposobem zuzycia Funduszu Pracy. Czytelnik oczywiście mógł spostrzec, że nasze propozycje w tej dziedzinie odbiegły bardzo daleko od nakreślonego planu. Wszystkie one przecie wymagają o wiele dłuższego czasu do opracowania planów. To też przeciwko tego rodzaju repartycji funduszów na razie nie zgłaszamy sprzeciwu, podkreślając jedynie to, że społecznie rzecz biorąc, służy on obecnie procesowi dalszej etatyzacji naszego życia, mając na względzie przedewszystkiem roboty publiczne.

WIZYTA P. PAUL BONCOURA.

Fanucja zapowiada odwiedziny ministra spraw Zagranicznych p. Paul Boncoura w Warszawie i Pradze. Francja raczyła sobie łaskawie przypomnieć o obowiązku kurtuazji względem reprezentanta polskiej polityki zagranicznej. Francja przecież nie myśli o oddaniu innej wizyty, złożonej w Paryżu przez Naczelnika Państwa.

Ale my o tem jakoś zapomnieć nie możemy. I nie możemy nie uprzytomnić sobie, że dopiero wymiana zdań pomiędzy polskim posłem w Berlinie a kanclerzem Hitlerem przypomniała politykom francuskim o konieczności traktowania nas naprawdę poważnie. Pomimo wszystko, co się urzędowo mówi, bodaj czy odwiedziny francuskiego ministra wywrą na nasz wzajemny stosunek taki wpływ, jaki by mieć mogły, gdyby stało się to przed paktem czterech i przed całym szeregiem wypadków, w których Francja o naszem istnieniu jakoś zapominała, pozwalając u siebie hulać propagandzie rewizjonistycznej, albo projektom izolowania Polski od państw naddunajskich.

Co tu gadać — polityka francuska w tej chwili nie może liczyć na bezwzględne zaufanie z naszej strony. Nie możemy myśleć o niej bez goryczy i nie możemy traktować po przyjacielsku tych wszystkich głosów „napomnienia", jakie się tam odezwały, gdy pp. Hitler i Lipiński wy-

mieniali poglądy na pokojowe załatwienie przeciwieństw pomiędzy Polską a Rzeszą niemiecką. Głosy te usiłują udzielić nam rad i lekcyj i z lubością są cytowane przez pewne organy prasy. Nas jednak oświeciło znacznie lepiej co innego — oto, że we Francji stale i zawsze odzywały się głosy za poniechaniem jakichkolwiek poręczeń dla Polski. P. Paul Boncour musiałby przywieźć coś konkretnego, by przywrócić dawną wiarę dla Francji.

AKCJA PARYŻA.

Paryż objawiać zaczyna bardzo ożywioną akcję. Po wizytach polskiej i czechosłowackiej, zapowiedziane tam są wizyty Bułgarji, Jugosławji i Rumunji w osobach swych panujących. W ten sposób Francja pragnie zupełnie widocznie stać się ośrodkiem dla całej polityki środkowo - europejskiej, organizując zwarty front z jednej strony antyrewizjonistyczny, z drugiej bardzo poważnie krępujący Italję w jej robotach około pozyskania Węgier, Austrji i Bułgarji wraz z Turcją. Po wizytach dopiero w połowie lutego rozpocząć ma swoje podróże minister spraw zagranicznych Francji. Zgóry trzeba przewidzieć, że akcja paryska może mieć całkowite powodzenie dopiero wtedy, jeżeli uniknie zupełnie stanowczo błędów p. Tardieu, polegających na próbach oddzielenia Europy Środkowej od Polski. Kompleks państw od Bałtyku po Adrjatyk musi być traktowany jako całość bez względu na chwilowe nastroje, objawiające się gdzieniegdzie.

SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Skazanie van der Lubbego na śmierć nic było dla nikogo niespodzianką. Postać jego rysuje się nam poprostu. Poszukujący przygody, niespokojny człowiek o słabej inteligencji a wybitnem pragnieniu odznaczenia się zostaje wykorzystany przez „rasistów". Nie wiemy, czy był przekupiony, czy sprowokowany w inny sposób — dość, że bierze udział w podpaleniu Reichstagu. Kiedy zeznania jego mogą być niewygodne, władze zatruwają go przy pomocy narkozy — tak że w czasie procesu mamy do czynienia z łachmanem człowieka. Ten łachman bierze na siebie całą winę. Jakaś zdumiewająca niezręczność prokuratorji, widocznie pewnej, że proces stanie się... czemś już kompletnie niepodobnem do procesu kazała przyczepić do Lubbego komunistę Torglera i trzech Bułgarów. „Obłaskawiony" Torgler gotów nawet był oddać głowę pod topór katowski zachowanie się jego było przez cały czas procesu gładkie, europejskie. Bułgar Dymitrow więc przyjął na siebie cały ciężar obrony i wytrwał po bohatersku. Jego to stanowisko sprawiło w znacznej części, że pozory procesu przewrotu sądowego zostały zachowane. A te pozory nawet wykazały całkowitą niewinność komunistów. Sąd uniewinnił ich.

Sytuacja rządu Rzeszy Niemieckiej bynajmniej nie jest łatwa w tej chwili. Holandja protestuje przeciwko wykonaniu wyroku śmierci na jej obywatelu van der Lubbem. Dymitrow i trzej Bułgarzy nie mogą być zamknięci w obozie koncentracyjnym. Muszą być wydaleni za granicę. Pozostaje Torgler, nad którym można się pastwić — choć jest niewinny. A ponieważ przewód sądowy wykazał, że sam jeden Lubbe nie mógł podpalić Reichstagu — oskarżenia „Brunatnej księgi" nabierają cech prawdy bardziej niż kiedykolwiek.

LIGA NARODÓW.

Stanowcza postawa opinji angielskiej i francuskiej w sprawie Ligi Narodów i zdecydowana niechęć tych państw do przeprowadzania już dziś daleko idących reform, zdaje się, podziałała na Rzym nieco otrzeźwiająco. Żądania Mussoliniego w tej sprawie uległy już, o ile można sądzić z doniesień prasy, pewnej redukcji. Chodzi mu o ograniczenie swobody występowania z Ligi, do której wszystkie państwa obowiązkowo miałyby należeć po pierwsze, a po drugie o wzmocnienie Rady przez przyznanie w niej miejsca jedynie „pierwszorzędnym mocarstwom" z pominięciem elementu wybieralnego. Ten drugi punkt jest, oczywiście nie do przyjęcia i prawdopodobnie również po pewnych pertraktacjach ulegnie złagodzeniu tembardziej, że Italja nie może się czuć odosobnioną. W tej chwili ciężar główny jej polityki międzynarodowej spoczywa na przeciwdziałaniu anschlussowi. To mają na celu podróże jej mężów stanu. A w tej akcji trudno być samemu, gdy się ma do czynienia z Niemcami.

ZWYCIĘSTWO RZĄDU W RUMUNJI.

W wyborach zarówno do sejmu jak i do senatu stronnictwo rządowe odniosło sukces zupełny. Ordynacja wyborcza tamtejsza stronnictwu które otrzymuje największą ilość głosów, daje bardzo znaczną „premję" mandatową dzięki czemu uzyskuje ono absolutną większość w parlamencie. W ten sposób stałość kierunku polityki w Rumunji jest zapewnioną.

Trzeba zaznaczyć, że po raz pierwszy premjowanie większości w sposób decydujący zastosowała Italja po przewrocie faszystowskim celem całkowitego podporządkowania parlamentu rządowi. W Rumunji premja ta służyć ma wzmocnieniu parlamentaryzmu, gdyż ordynacja wyborcza zawsze daje temu ciału zwartą większość, zdolną do wyłaniania rządu. Opozycja pozostaje w ilości odpowiadającej potrzebom — krytyki.

SYTUACJA ANGLJI.

Ekonomiści światowi zwracają uwagę na rozwój ekonomiczny Wielkiej Brytanji, który się daje tam zauważyć od chwili porzucenia parytetu złota. Wytwórczość poszczególnych gałęzi przemysłu wzrosła od 20 — 40 proc. Ruch kapitałów powiększył się jeszcze bardziej. Anglja zajęła znów pierwsze miejsce na świecie jako potęga finansowa. Inwestycje jej przemysłowe powiększają w bardzo szybkim tempie.

Jakie przyczyny to sprawiły? Zwolennicy równi złotowej usiłują dowieść, że nie jest tego przyczyną dewaluacja sterlinga. Opierając się przytem na fakcie, że eksport Anglji nie tylko się nie podniósł, ale przeciwnie — spadł. Rozumowanie to nie wytrzymuje krytyki. Dewaluacja angielska, przeprowadzona ostrożnie, pozwoliła na powstrzymanie rozwierania się „nożyc" pomiędzy pieniądzem i towarem i jeżeli nie powiększyła eksportu, to w każdym razie choć częściowo go uratowała, powstrzymując jednocześnie co ważniejsze dla tak pojemnego rynku jak angielski import. Dewaluacja angielska odegrała ogromną rolę w gospodarstwie tego kraju, na co nie można zamykać oczu. Tylko bodaj czy jaki inny ekonomista potrafi naśladować ten krok z równem powodzeniem. Bodaj czy względem jakiejkolwiek waluty można mieć zaufanie, że nawet puszczona po równi pochyłej nie potoczy się ani o jedną miljonową swej wartości poniżej nakreślonej granicy. Gospodarka angielska jest niezmiernie ciekawa właśnie dla tego, że potrafi panować nad swoim pieniądzem i czynić go swym narzędziem — nie fetyszem przed którym się pada plackiem, któremu oddaje wszystkie siły żywotne.

Tę siłę Anglji daje jej dyscyplina.

DYSKUSJA

REFORMA KONSTYTUCJI.

Spróbujmy streścić pokrótce zasady projektu konstytucji, opracowanego przez BBWR. Na czele Państwa stoi Prezydent Rzeczypospolitej, który mianuje rząd. Ustawodawstwo należy do parlamentu, złożonego z sejmu i senatu. Sejm wybiera ogół obywateli — senat powoływany jest przez elitę, którą sam mianuje. Senat jest władzą z sejmem równorzędną, zdolną do zahamowania każdej uchwały izby wybrańców powszechności.

Zmiany więc w stosunku do tego, co jest dzisiaj, polegają przedewszystkiem na ograniczeniu uprawnień izby poselskiej w ten sposób, że w dziedzinie wykonawstwa przeciwstawić się jej może zupełnie stanowczo Prezydent z rządem, w dziedzinie ustawodawczej senat, pozostający w znacznej mierze w rękach tego prezydenta. Autorowie zatem konstytucji nie kusili się szukać sposobu na to, by wybory wylaniały istotnie najbardziej twórcze siły ze społeczeństwa, lecz poszli po linji ograniczenia władzy przypadkowo wybranych posłów, szukając stałości władzy państwowej w uwiecznieniu przewagi tych czynników, które dziś rządzą i mają bezsprzeczną zasługę stabilizacji stosunków w Rzeczypospolitej.

Przejście władzy z rąk tego grona, tej grupy ,czy tego obozu w ręce inne może się odbyć tylko i wyłącznie za jego zgodą. Celem konstytucji jest zeskalenie stosunków dzisiejszych.

Może to być pożyteczne w perspektywie lat kilku, kilkunastu. Będzie jednak szkodliwe na dalszy przeciąg czasu, gdyż prowadzi w konsekwencji do wszechwładzy biurokracji. Stosunki w społeczeństwie ulegają ewolucji i tylko taka konstytucja może być uważana za dobrą i trwałą, która ujawnia jego siły twórcze, wylania je i im oddaje w ręce decyzję. Inna konstytucja wytwarza skorupę, pod którą płyną i dojrzewają procesy życiowe, niezależne od niej, co gorsze, nieraz jej obce i wrogie. pod tą skorupą odbywa się wtedy nie krystalizacja pozytywnych czynników, ale zsolidaryzowanie wszystkiego, co jest jej przeciwne. Cementem dla nich staje się opozycja względem tego, co jest, negacja. Najsprzeczniejsze czynniki łączą się w niej w celach burzenia i — ostatecznie wszystko to nie znajduje ujścia innego, jak — wybuch, przewrót, aby nie powiedzieć rewolucja.

W tem właśnie widzimy niebezpieczeństwo jakie kryje w sobie nowy projekt ustawy konstytucyjnej, opracowany, naszem zdaniem, na zbyt krótki okres czasu — opracowany, powiedzmy dalej — przedwcześnie.

Powiadamy przedwcześnie dlatego, że w społeczeństwie naszem, ani na dołach, ani w elicie umysłowej, ani w pośród sfer rządzących nie ujawnił się dotąd plan rozwoju przyszłego, nie ujawnił się sprecyzowany i przyjęty pogląd na to, jakim potrzebom będziemy musieli sprostać jutro, w jaki sposób jutro będziemy się rozwijali, ku czemu dziś dążymy. Wszystkie siły skierowane są ku przetrwaniu, przewegetowaniu. W tego rodzaju czasach rodzi się przesadna bojaźń przed zasadniczemi zmianami po jednej stronie, po drugiej zaś — zbyt daleko posunięty radykalizm niejednokrotnie. To nie jest czas odpowiedni do ustalania form życia. I dlatego sądzimy, że sprawa uchwalenia konstytucji pilna nie jest. Sui generis monarchja rzeczywista, jaką mamy obecnie (bynajmniej nie dyktatura), odpowiada znakomicie tym przejściowym czasom obecnym, owemu okresowi dojrzewania planów przyszłości i nie pilno nam porzucić jej dla zeskalenia władzy grupy.

Co zaś do samego budowania konstytucji — sądzimy, że metoda, do jakiej się uciekano dotąd, powierzając to zagadnienie prawnikom — nie jest słuszna. Prawnicza wiedza daje człowiekowi uzdolnienia w dziedzinie kodyfikacji tez konstytucyjnych, nie zaś wylaniania tych tez. Prawnik, jako rysownik norm współżycia, w ogólnych zarysach bynajmniej nie jest kompetentniejszy od każdego innego człowieka, stojącego na tym samym poziomie umysłowym. Zagadnienie kodyfikacji konstytucji powinno być poprzedzone przez wyczerpującą dyskusję ludzi twórczych różnych dziedzin życia. Dyskusja taka, kto wie, czyby nie wykazała, że budować ustrój przyszły należy na zupełnie innych zasadach, niż te, jakie nam dają wzory wydedukowane z zasad monteskjuszowych, które ciążą ogromnem brzemieniem na projekcie BBWR. Kto wie, czy nie należałoby porzucić samą zasadę jedności władzy, przekazując jej poszczególne części różnie wylanianym ciałom, tworząc dla nich nadbudowę dla załatwiania zagadnień wspólnych czy bardziej ogólnych. Syndykalizm, czy korporacjonizm dają pod tym względem niezmiernie ciekawe pole do doświadczeń. A kto wie, czy jeszcze bogatszych doświadczeń nie znaleźlibyśmy w życiu angielskiem, gdybyśmy tylko chcieli oderwać się od wyłączności, z jaką wpatrujemy się dziś w sam parlamentaryzm Wielkiej Brytanji, gdybyśmy chcieli potrzebom i wymaganiom życiowym poświęcić więcej uwagi niż — pragnieniu przejrzystości i „unifikacji".

KOSZARY.

Nasz artykuł o służbie pracy wywołał w pewnych kołach zastrzeżenia. A więc znów przymus? I jeszcze nowe koszary?

Morris w swoich „Wieściach znikąd" maluje świat, w którym wogóle niema żadnego przymusu. Ludzie pracują — dla tego, że tak im się podoba— a pracy jest tak mało, że raczej trzeba się o nią starać. Cały ustrój jest oparty na wzajemnej życzliwości ludzi. Kto wie — może istotnie udoskonali się z czasem człowiek w tym stopniu, że żadne kary, żadne sądy, żadne przymusy nie będą potrzebne. Będą warsztaty pracy i punkty rozdawnictwa, w których każdy będzie brał to, czego potrzebuje. Dziś!?... Tak udoskonalona istota ludzka jeszcze nie jest.

A przecie i dziś do pracy z tych czy innych powodów chętnych jest o wiele więcej, niż trzeba, niż można zatrudnić.

Sądzimy, że powinien istnieć obowiązek pracy. Sądzimy, że tak, jak każdy musi odsłużyć pewien określony czas w wojsku — tak samo każdy młodzieniec, wstępując w życie samodzielne, powinien odbyć służbę pracy, ofiary na rzecz podniesienia własnego kraju, ukulturalnienia go. I nie uważamy bynajmniej, że ten obowiązek jest za ciężki.

Tylko, że na razie ta sprawa jest nieaktualna. Dziś, gdyby tylko ogłosić zapisy do służby pracy— ilość kandydatów byłaby znacznie większa, niż moglibyśmy zatrudnić. Mówimy to nie na podstawie przypuszczeń, lecz na podstawie doświadczeń, poczynionych przez Stany Zjednoczone, Niemcy, Austrję.

Służba pracy wymaga organizacji, która nie powstaje, jak Atena w zbroi. Ta organizacja stopniowo tylko może się rozszerzać, w miarę tego, jak będzie miała przygotowane tereny, pomieszczenia, plany, intendenturę i t. d. Zapewne, że w wielu wypadkach wojsko już dziś posiada niejako gotowe ramy, w których wiele z tego by się zmieściło. Zapewne, że zapał wiele może przyśpieszyć, ale i tak do chwili, kiedy ochotniczego elementu zabraknie, jeszcze bardzo daleko. Narazie więc sprawę przymusu uznajemy za nieaktualną — to rzecz dalszej lub bliższej przyszłości.

Ważnem jest usunięcie siedmiuset tysięcy rąk roboczych z rynku pracy. To jest zagadnienie kapitalne. I darują nam nasi oponenci, że uważalibyśmy za bezporównania mniejsze zło wprowadzenie nawet rygorystycznie stosowanego przymusu, niż znoszenie bezrobocia, które barbaryzuje nam ludność, degeneruje ją fizycznie — a kraj cały w braku najprymitywniejszych urządzeń, jakiemi są drogi, pozostawia na stopie, której wstydzi się Azja.

Rozpamiętywania

Zagadnienie przeistoczenia się psychiki polskiej w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, owego przejścia od niewoli do wolności pociąga wielu — pisarzy. Mamy już na ten temat całą literaturę. Kiedy wyzwoliła się konieczność walki — jak powstawała świadomość tej konieczności? Jak przeobrażał się człowiek w ogniu dziejów, które po ostatnim porywie roku 1863-go zdawały się wykreślać nas z liczby żyjących narodów i wydawały typ polaka wzwyczajonego do niewoli, przystosowującego się do niej, wrastającego w stosunki przez nią stworzone.

Przecie, kiedy rozglądamy się dziś wkoło siebie, dziś jeszcze widzimy ten typ, który... tęskni za przeszłością, — wstydząc się tego poniekąd — który tysiącznych wybiegów używa, by ową tęsknotę pokryć, wmawiając w siebie „radość z odzyskania ojczyzny", a wciąż uparcie zwracając oczy ku tym czasom, kiedy... o tej Ojczyźnie się wcale nie myślało — chyba od święta — kiedy się było młodym. Wtedy było lżej. Wtedy życie płynęło tak wartko i tak jakoś gładko — wtedy wszystko było jeszcze przed nami. Wtedy... była niewola, ale przecież — zaczyna się rozumowane uzasadnianie tęsknoty: wewnętrznie człowiek był niepodległy!

Tę niepodległość swoją usiłuje się ukazać.

Tę niepodległość usiłuje ukazać Choynowski w swojej ostatniej powieści *). I ukazuje znakomicie, gdy rysuje dzieje podwórka, na którem wychowuje się jako dzieciak jego bohater. Tu mamy życie — mamy ludzi żywych naturalnych, prawdziwych. Oto w podwórko prowincjonalnego miasta Warszawy schodzi jakowyś nowy człowiek, który każdym swym ruchem, każdym uśmiechem, gestem głosi wieść nową, głosi życie nowe. On (podobno) zakłada PPS — on prowadzi jakąś robotę konspiracyjną. On styka się z jakimiś działaczami. To rzeczy mniej ważne. On sam w sobie jest czemś słonecznem niesłychanie, czemś, co oddycha swobodą. Rzecz ciekawa i charakterystyczna, on jest zupełnie samotny. Zerwał z nim świat walki dawnej, zastygłej w jakichś ramach minionych ruchów, żyjący cierpieniem i wspomnieniem, rysujący się w kształty posągowe, a skarby domniemanych zapałów kryjący pod maską chłodu, ironji, zgorzknienia. Ten świat już minął.

A świat współczesny handlarzy, spekulantów, przemysłowców potępił tego człowieka, potępił stanowczo i bezwzględnie. Nie chce z nim żyć zupełnie. Ukazuje się jakoby tragizm słońca, od którego odwraca się wszystko, na co ono pragnie świecić, czemu chce dawać hojnie swe życiodajne promienie. Ale Słońce? jest zbyt wielkie, by nie wiedzieć, że ku niemu się przecież zwrócą. Nie dziś, to jutro...

Taka jest legenda dzieciństwa Michała Kęckiego — dzieciństwa, w którem jest już cała przyszłość prawie, w którem pospolitości otoczenia owych babek, jakby żywcem wyciętych z portretów, owych byłych powstańców, którzy potem dopiero zarysują się wyraźniej, owych przemysłowców pół - niemców, owych szachrajów - handlarzy, chamów z pod ciemnej gwiazdy, owych gęsi salonowych o ptasich mózgach i muszych sercach — przeciwstawia się lekarz - rewolucjonista.

Dalsze dzieje to zagrzebywanie skarbów owego dzieciństwa. Zagrzebuje je wszystko, całe życie. Dzieje protestu czynnego w jaskrawych, o wiele jaskrawych malowane barwach, blade są wobec pierwszych kart powieści. To już nie żywioł światła, świecącego mocno — to coś jakby kukiełki Przyborowskiego, jeżeli chodzi o bohatera w chwilach wystąpień, a papier — jeżeli chodzi o innych. Choynowski pisze tak, niby nie przeżył tego wszystkiego, niby tylko powierzchownie pamiętał jakąś zewnętrzność. Chciałby odmalować wszystko — ale potrafi tylko wymienić pseudonimy, czy nazwiska — czasem za wielkie, zbyt wiele mówiące. Czytelnik jest zmuszony czytać między wierszami. Temperament bohatera powieści pcha do czegoś — pchają do czegoś przyzwyczajenia, odziedziczone po ojcu, ale rwie go prąd życia inny, ponosi do pospolitości życia, którego drobnym frag-

*) Piotr Choynowski: W młodych oczach. Powieść, str. 308. Warszawa (1933). Nakład Gebethnera i Wolffa.

mentem zostają tylko jakoweś dążenia społecznej natury, czy narodowych dążeń. Bohater, piszący o sobie, nie zasługuje na wiarę, kiedy lakieruje siebie samego na czynny patrjotyzm, przeciwstawiając własną czystość zaszarganiu wszystkich, którzy go otaczają. Jego rysunek zdaje się być zbyt... samochwalczy.

I odnajdujemy go znów dopiero wtedy, gdy zapomniawszy o wszystkiem, po zapisaniu się do niepodległościowej Spójni, wdziewa wspaniały mundur studenta i rad jest, że Warszawa „kocha swą młodzież", nb. właśnie taką, jaką on reprezentuje, to jest z kieszenią pełną banknotów, obtańcowującą najgłupsze gęsi, byle buzie miały jakie takie, nie myślącą o niczem i niczego nie rozumiejącą. Tu jakby znów odradzała się czystość spojrzenia Choynowskiego, szczerość artystyczna, z jaką spoglądał w dzieciństwo. Tylko ta szczerość każe mu widzieć nie legendę — ale próżność życia — i cieszyć się tą próżnością.

Aż oto przełom nadchodzi. Student wspaniały, „kochany" przez Warszawę, wędrujący po wyspaniu się na jakąś nową zabawę — ten student widzi w roku 1904 szeregi zmobilizowanych, ciągnących na wojnę.

Cały bunt ojcowski odrodził isę w jednej chwili. Odrodził się nie w postaci owego promiennego słońca, jakie płonęło w sercu lekarza, który życiem całem tworzył rewolucję wewnętrzną, etyczną, który siebie samego rewolucjonizował, ale w postaci buntu niewolnika, który będzie straszny dla swych tyranów, gdyż sam swego tyrana w sobie nosi. Który się rzuci w bój, zanim dokona własnego przeistoczenia.

To będzie tragedją Kęckiego, jeżeli jeszcze go ujrzymy, jeżeli Choynowski dalej będzie prowadził wątek podjęty, każe Kęckiemu opowiadać dalej o swoich dziejach, aż doprowadzi go do inwalidztwa, o którem wspomina na początku, jako o teraźniejszości.

Technika powieści, rozpoczętej doskonale i świetnie zakończonej, posiada wiele niedociągnięć. Najfatalniejszem z nich jest opowiadanie w pierwszej osobie. Choynowskiemu-autorowi wolno wiele. Pamiętnikarzowi Kęckiemu jakoś trudniej wybaczamy tak bezwzględny stosunek do — chyba żyjących jeszcze siostry i matki. Zgoła nie wybaczylibyśmy tego rodzaju stosunku do tak niedawno zmarłych. Przedziwna płytkość, brak jakiegokolwiek zrozumienia dla tych istot, żyjących tuż obok, ponad które w pierwszych okresach i sam nie jest w stanie się wznieść, brak minimum dobrej woli usprawiedliwienia nawet najbardziej grzesznych, ale przecież uczestniczek bodaj bólu po stracie ojca.

Jeżeli to ma być miarą zdolności odczuwania zjawisk otaczających przez człowieka — to naprawdę ów inwalida Kęcki dyskwalifikuje się do cna — bo to przykra, filisterska oziębłość. To więcej — niesumienność myślowa, brak pogłębienia samego siebie, płytkość. A sprawiła w znacznej mierze właśnie forma, bo gdyby o osobach tych pisał sam Autor — bohater jego nie ponosiłby za taki stosunek autora odpowiedzialności, co wypadłoby, naszem zdaniem, właśnie po myśli twórczej Kęckiego. I tu jest błąd powieści bardzo znaczny, który obniża jej wartość, pomimo wszystko, zupełnie niepoślednią.

Teza o nędzy

Zagadnienie walki z nędzą nabrało charakteru sprawy światowej. Każdy ustrój i każdy rząd zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że usunięcie nędzy, jej zwalczenie, jest jego naczelnem zadaniem, celem, dla którego istnieje. Pisarze ekonomiści i beletryści, politycy i społecznicy wszyscy są zjednoczeni w jednym wspólnym wysiłku. Rezultaty jednak są nikłe, i, jeżeli tak dalej pójdzie, trudno spodziewać się, aby bliska przyszłość mogła nam przynieść w jakichkolwiek warunkach poważniejsze polepszenie.

Zdumiewa ogromna rozbieżność sposobów zaradzenia złemu, jakie są proponowane i bezplanowość akcji społecznej. Bezplanowość, t. zn., że organizacje pomocy społecznej działają w jednem i tem samem społeczeństwie na podobieństwo jakichś bolidów, stanowiących każdy z osobna odrębny swój świat i gdzie każdy zdąża w swym własnym kosmicznym kierunku. Ogromna ilość spraw załatwiana jest jednocześnie w kilku organizacjach, a obok tego niesłychanej wagi zadania leżą odłogiem. Chaotyczność pracy na polu społecznem jest poza dyskusją i to wszystko wówczas, gdy kostucha jest silna i skoncentrowana i działa planowo i niezawodnie.

Wiele jet przyczyn tego stanu rzeczy, ale jedna jest najważniejsza. Ta polega na odwiecznym wprost błędzie, czy przesądzie, że pomoc społeczna to w pierwszym rzędzie pomoc materjalna. Nakarmić głodnego i odziać nagiego — to są proste i zrozumiałe odruchy i serca i zwyczaju. Nie myślę ich zwalczać, ani im się przeciwstawiać. Oczywiście, i głodnych trzeba nakarmić i nagich przyodziać. A jednak im więcej karmimy i przyodziewamy, tem więcej mamy głodnych i nagich. Coś w rodzaju walki z siłą demoniczną, im więcej jej niszczymy, tembardziej się wzmaga.

Trzeba wreszcie raz postawić w całej szerokości otwarcie pytanie o przyczynie nędzy ludzkiej. Dla czego i skąd jest nędza? Tłomaczą nam, że to skutek kryzysu, inni twierdzą, że to są wady ustrojowe, przyczyny natury ekonomicznej. Jednakże i to zważyć trzeba, że w tej chwili mamy w Europie dwa ustroje: z tych jeden, kapitalistyczny, jest szarpany przez nędzę, która, jakoby wypływa z natury tego ustroju, a drugi — komunistyczny, który powstał specjalnie, aby nędzę zwalczyć i dał taki obraz nędzy, jakiego dotychczas nieosiągnął najbardziej kapitalistyczny z pośród kapitalistycznych ustrojów. Czyżby przyczyna złego leżała w tem, że nędza nie jest skutkiem wad ustrojowych? Zaczyna wyglądać tak, jakby żaden z ustrojów sam przez się nędzy zwalczyć nie był w stanie.

Błąd polega na tem, że przyczyny ustroju gospodarczego, kryzys uważa się za przyczynę i nędzy. A, właściwie, dlaczego tak się uważa? Przecież trzeba rozwiązać dwa pytania: jedno, dlaczego niema pracy i dochodów. To zagadnienie nara-

zie pozostawmy ekonomistom. politykom. Drugie—dlaczego w okresie istnienia nędzy niepowszechnej — konkretna jednostka i to właściwie ona, a nie kto inny, popadła w stan nędzy ostatecznej. Inaczej mówiąc: dlaczego właśnie ten, a nie tamten jest w nędzy? Co to, czy los, czy jakaś predystynacja, czy wreszcie przypadek?

Wszystko, co dotychczas wiemy o nędzy, zdaje się zaprzeczać poglądowi na konkretny wypadek nędzy, jako na los lub przypadek. Odwrotnie, znamy wszyscy ludzi, którzy zawsze będą w nędzy w tych samych warunkach, w których inni bezwarunkowo i napewno z nędzy się wydostaną. Głód i chłód nie są nędzą, nie są jej objawami, jak myśli się dotychczas nieraz, one są skutkami nędzy.

Nędza jest to zjawisko niematerjalne, nie jest to brak środków, a jest to zjawisko psychiczne, które pociąga za sobą brak środków.

Dlatego sama pomoc materjalna, okazana nędzarzowi, zaspokaja wymogi naszego serca w perspektywie bezpośredniej, ale w żadnym stopniu nie zapobiega nędzy. Dopóki ta prawda nie będzie w dostatecznym rozmiarze przyswojona przez organizacje pomocy, dopóty nędza będzie złym i wiecznie odradzającym się demonem.

Ponieważ redakcja „Człowieka w Polsce" otwiera swe łamy dla każdej dyskusji w sprawach społecznych, pragnę na gościnnych stronicach naszego pisma odbyć tę dyskusję, którą zagajam twierdzeniem, że nędza jest to zjawisko psychiczne, które usunąć się da jedynie w drodze zmiany treści przeżyć psychicznych i ich intencji motywacyjnej. Stąd wniosek, że pomoc społeczna powinna kroczyć drogą, która nasuwa się, jako wniosek z mojej tezy.

Michał Orzecki.

Impas w rolnictwie

Dyskusja w komisjach sejmowych była niezmiernie ciekawa. Przedstawiciele Rządu jeden po drugim występowali z programowemi oświadczeniami, ze sprawozdaniem poważnem i rzeczowem, a każde z nich mówiło o kurczeniu się życia. Zostają wydatki wegetacyjne — odpadają inne. Doskonalenie administracji prowadzi do zmniejszenia personelu. Obniżki pensyj jeszcze skracają wydatki. Ale przecie kres już jest blisko. I referenci budżetów jeden po drugim stwierdzają, że na tym poziomie, co dziś rozchody państwowe dłużej się utrzymać nie mogą. Więc trzeba na gwałt myśleć o powiększeniu wpływów.

Ale na tejże komisji w czasie debaty nad budżetem ministerstwa Rolnictwa usłyszeliśmy stanowcze oświadczenie ze strony p. ministra Kozłowskiego, że zostawiamy kryzys jego naturalnemu rozwojowi. Wyrzekamy się zasadniczego nań oddziaływania, wyrzekamy „nakręcania konjunktury". Cały plan działalności naszej na polu rolniczem świadczył, że tak jest istotnie, że tej linji zamierzamy się trzymać i trzymać będziemy w ciągu przyszłego roku budżetowego.

Z najwyższym smutkiem przysłuchiwaliśmy się wywodom p. min. Nakoniecznikoff - Klukowskiego, stwierdzającym w całej rozciągłości, że idziemy dawną starą drogą, zaledwie tu i owdzie wprowadzając nieśmiałe „posunięcia". Będziemy więc dalej prowadzić tę samą „reformę rolną", która ma udowodnić, że nasze indywidualne gospodarstwa wyżej stoją niż... kolektywy rosyjskie. A czy nie warto byłoby spróbować, czy nasze polskie spółdzielnie, pracujące na wielkich obszarach pod kierunkiem fachowych agronomów, nie pracowałyby jeszcze lepiej i jeszcze lepszych nie dawałyby wyników? Czy nie warto byłoby spróbować przy przebudowie ustroju rolnego, przerzucić na naszą ciemną, głuchą, zacofaną wieś nieco żywiołu inteligenckiego, tego, który obecnie głoduje po miastach? Czy nie warto jednem słowem poszukać dróg nowych?

Czemu mamy się wciąż trzymać tej najprymitywniejszej formy przebudowy gospodarki rolnej, narzuconej opinji przez najciemniejsze elementy, do dziś dnia jeszcze wierzącej w to, że z zapasów wielkiej własności obdzielić można najurodzajniejszemi gruntami wszystkich i jeszcze coś tam zostanie? Czemu stoimy wciąż na poziomie uwłaszczeniowych haseł z przed lat stu? Przecie czas idzie i postęp idzie.

A czy jest to tylko zagadnienie samego posiadania?

Otóż bynajmniej nie. I tu spotykamy drugi punkt programu rolnego ledwie zaznaczony u nas przez czynniki miarodajne, sprawę nadwyżek eksportowych i preferencyj dla surowców krajowych, a dotyczącą dalej zagadnienia i naszego drzewostanu, naszej gospodarki leśnej.

Przecież mamy nadwyżkę ziarna, z którą zupełnie nie mamy co robić, którą z największym trudem, za koszt samego przewozu, a więc z kolosalną stratą dla dochodu społecznego, lokujemy zagranicą. Racjonalna gospodarka powinna zdążać do ograniczenia tej nadwyżki, do zmniejszenia jej. Musimy natomiast rozpowszechnić uprawę nasion oleistych (przedewszystkiem soi), roślin włóknistych (lnu, konopi), postawić racjonalnie owocarstwo, hodowlę zwierząt futerkowych, uprawę ziół leczniczych, hodowlę jedwabników. Przed nami stoi jednem słowem całkowita przebudowa wytwórczości rolnej. Olbrzymie obszary roli musimy wyrwać z pod ziemniaków, żyta, owsa, jęczmienia i oddać je pod zupełnie inne plantacje, plantacje, wymagające zgoła innej pielęgnacji i troski, wymagające wielkiego fachowego przygotowania, ścisłości i dokładności pracy, plantacje, które muszą zatrudnić ludzi nietylko przy roli, ale i przy przeróbce surowych produktów, przy racjonalnej organizacji handlu niemi.

Dziś rozdrobniona własność ziemska, niesłychana ciemnota masy chłopskiej, brak na miejscu odpowiednio wykwalifikowanych instruktorów poprostu uniemożliwiają tego rodzaju robotę. Chłop zna tego żydka, który kupi od niego jajka, żyto, czy owies i jakoś tam sobie z tem wszystkiem poradzi. W razie czego ten żydek nawet na pniu kupi odeń plony. Ale ten sam kupiec zupełnie nie będzie wiedział, co czynić z jakimś nowym produktem. Więc chłop boi się inowacji, chociażby zapowiadano mu potrojenie dochodu z roli. Wyjątki tylko czynią próby — ale ich przykład trudno, a-

by kogoś zachęcił, gdyż mała ilość towaru jeszcze o niczem nie mówi. Boi się tych inowacyj i wielka własność — gdyż nie stać ją na inwestowanie potrzebnej robocizny. Taka przebudowa mogłaby się odbywać tylko na większą skalę za pośrednictwem pracy spółdzielczej, obejmującej duże obszary zapasu ziemi na reformę rolną, zapasu, który może wzrosnąć bardzo poważnie przez przejęcie gruntów za podatki zaległe.

I znowu spółdzielnie o innym typie mogłyby znakomicie zająć się eksploatacją znacznych obszarów lasów państwowych na hodowlę futerkowców od lisów srebrnych aż do bobrów, które mają przecie w niektórych bagnistych częściach naszych krajów doskonałe warunki. Lasy stałyby się źródłem dochodów bez wyrębu nadmiernego, bez niszczenia nadmiernego drewna.

Czas najwyższy, by zamiast tworzenia nierentownych, małych gospodarstw, niezdolnych do udziału w wykonywaniu większych zamierzeń, przystąpić do opracowania wielkiego planu czynienia zadość istotnym potrzebom kraju. Czas najwyższy zerwać z tradycją obserwowania procesów i przystąpić do tworzenia procesów. Naturalny rozwój jest zbyt powolny — wymaga on — kto wie czy nie całych pokoleń. Trzeba zmieszać ludność wiejską z inteligencją, którą głód dzisiaj z miast wygania i tą drogą podnieść świadomość gospodarczą rolnika.

Czy tragedja biologiczna?

(Na marginesie „Biologicznej tragedji kobiety" prof. Niemitowa).

Książka prof. A. Niemitowa p. t. „Biologiczna tragedja kobiety" w krótkim czasie doczekała kilku wydań w rosyjskim języku, przetłomaczona została na inne języki, a niedawno ukazała się i po polsku. Dziełko napisane jest bardzo zajmująco, poważnie i naukowo, zdradzając wybitny talent popularyzatorski. Prof. Niemitow postawił sobie za zadanie dać przekrój „odwiecznej tragedji kobiety", istoty — na udrękę i mękę przeznaczonej. Coprawda, z góry zastrzegając się, iż każda istota ludzka ma w sobie coś tragicznego, gdyż sam cel przebywania naszego na tym padole płaczu nazawsze chyba pozostanie zagadką. Jedynie może względy religijne, etyczne, społeczne godzą myślącego człowieka poniekąd z ukazaniem się jego chwilowem na „arenie" życia. Zwierzęta, istoty bezmyślne, bezwątpienia są szczęśliwsze od nas. Nie wiedzą i nie doznają nigdy kolizyj, — jakie pan natury — homo sapiens — napotyka na każdym kroku. Najbardziej zaś tragiczną istotą jest kobieta. „Biorę kęs życia i tworzę z niego legendę, albowiem jestem poetą" mówił rosyjski pisarz Sołohub. Niemitow, stojąc na tak — zdawałoby się — realnym gruncie faktów biologicznych i fizjologicznych, ujmuje i naświetla je w ten sposób, iż zaczynają nabierać cech... fatalistyczno - mistycznych. A więc okres dojrzewania dziewczęcia wraz z ukazaniem się „pierwszej krwi". W tym okresie burzliwym faktycznie daje się stwierdzić, w wielu wypadkach, pewne zachwianie się psychofizycznej równowagi młodego organizmu. Jest to okres „przebudzenia — wiosny", okres garniczny (również i u chłopców), okres próby krzyżowej wydolności ciała i duszy. Lecz normalny organizm — dziedzicznie nie obarczony, bez trudu sobie poradzi tu, o ile nim należycie się zaopiekować. Oko inteligentnej i uświadomionej matki lub kierownicza ręka lekarza, dobrze obeznanego z otoczeniem może wiele zdziałać: umiejętnie hartując, wzmacniając, należycie kierując, w większości wypadków udaje się bezpiecznie przeprowadzić młodą istotę przez ten próg życia. O ile weźmiemy dalej dojrzałą kobietę z jej życiem płciowem, z jej okresem rozrodczym (ciąża, porody i połogi) — to ujęcie ich jako łańcucha ciągłych niebezpieczeństw, czyhających tu na każdym kroku — wydaje się być w niemałej mierze przejaskrawieniem.

Każdy akuszer spotyka się z komplikacjami porodowemi, nieraz niebezpiecznemi, ale nie jest to reguła. Tysiąc kobiet rodzi bez wszelkiej pomocy lekarskiej. Pozatem, nawet i w naszych czasach uświadomionego macierzyństwa — są jeszcze tysiące kobiet gotowych na największe ofiary, byle zostać matką. Gdyż instynkt macierzyństwa tkwi w głębi istoty każdej normalnej kobiety, a stosownie do czynności rozrodczej zbudowane zostało jej ciało. Nie zapomnijmy jeszcze o ujemnym wpływie na czynność rozrodczą miejskiej „kultury", wielkomiejskich warunków, wyczerpujących kobietę. Przy rozszerzaniu zatem opieki nad matką, przy ściślejszem przestrzeganiu przez nią przepisów higjenicznych podczas ciąży, ilość powikłań porodowych zmaleje, albo ostrze ich niebezpieczeństw uda się w dużym stopniu przytępić. Udało się wszak higjenie w stosunkowo krótkim czasie — w ciągu ostatnich 60 lat — przedłużyć wiek ludzki o jakieś 20 lat (z 40 do 60)... Mówiąc o wieku krytycznym kobiety, t. zn. okresie przekwitania, prof. Niemitow nie szczędzi ciemnych barw, by ukazać go w tragicznem świetle. A więc jest to okres wstrząsów, załamania się dotychczasowej normalnej „konjunktury" i „produkcji" (hormonów) w organizmie, okres groźnego bezładu fizjologicznej katastrofy. W rzeczywistości, o ile okres ten można nazwać „niebezpiecznym", to katastrofalnym staje się on wyłącznie dla tych, które od urodzenia są „stygmatyzowane", przedysponowane. Miljony normalnych kobiet po szybkiem przezwyciężeniu dolegliwości klimakterycznych przechodzą do „porządku dziennego", i długo, długo może im przyświecać słońce.

Mimo „biologiczną tragedję", kobieta do ostatnich czasów okazała się niemniej wytrwałą i odporną od mężczyzny. Ilość wdów przed wojną znacznie przewyższała liczbę wdowców. Dopiero po wojnie nastąpiło załamanie się. Na tle wyczerpania organizmu, wciągnięcia do pracy zarobkowej, wpływów nowych pojęć o moralności płciowej, mamy obecnie do czynienia z dwoma groźnemi objawami: krwawem żniwem samobójstw oraz wzrostem liczby poronień (sztucznych, przeważnie przez niepowołane osoby b. często dokonywanych). Czego następstwem okazał się ogromny wzrost śmiertelności kobiety w najlepszym rozrodczym jej wieku. Mamy tu zatem objaw raczej tragedji socjalnej, lecz nie biologicznej. Z uzdrowieniem życia ludzkiego zbiorowiska, zwanego spo-

łeczeństwem, ustać może — i ta nowopowstała tragedja.

Mojem zdaniem, nie jest zadaniem lekarza czy przyrodnika szerzenie pesymizmu lub przygnębienia, jak to czyni bezwiednie autor. Wyolbrzymiając niektóre słabe „momenty biologiczne", mówiąc wciąż o katastrofach, wstrząsach „ofiarach" biologicznych, autor łatwo może się przyczynić i do załamania się fizycznego lub duchowego przeczulonych jednostek. a nawet całych ich grup. Słusznie zwróciła uwagę w liście do prof. Niemitowa jedna z czytelniczek. iż po „przeczytaniu jego „biologicznej tragedji" nie pozostaje kobiecie nic innego, jak odebrać sobie życie".

Lekarz - biolog, poza leczeniem choroby (zadanie jego naczelne), ma obecnie jeszcze i inne zadania. Wskutek obecnych warunków społecznych i ekonomicznych, każda jednostka, bez względu na swoje położenie społeczne — traci coraz więcej na odporności. Występuje to tem jaskrawiej, im wyższe wymagania stawiają jej ciężkie warunki socjalne. Lekarz biologicznie myślący (albo przyrodnik, poruszający tematy lekarskie) powinien drogą wzmocnienia warunków psychologiczno - biologicznych pomagać jednostce do przezwyciężenia jej „kompleksu", czyli poczucia niższowartościowości, dążyć do biologicznego „podniesienia" załamującego się człowieka.

Mimo wielu „dysonansów" biologicznych w swojej istocie, których niesposób negować (a jakiejż to żywej istocie „niedociągnięć" brak!) — jest kobieta naturą harmonijną, istotą wytrwałą, stworzoną, by wraz z mężczyzną walczyć, budować i przeorać oblicze świata...

Dr. E. Birzowski.

Przedszkola w Polsce

Wśród rozlicznych form opieki społecznej nad dzieckiem. jak żłobki dla niemowląt, świetlice, kolonje letnie i t. p., jedną z ważniejszych są przedszkola, dostarczające opieki wychowawczej dzieciom w wieku, poprzedzającym wiek obowiązku szkolnego. Znaczenia tego rodzaju instytucyj nie trzeba chyba dzisiaj dowodzić. Wzrost zatrudnienia kobiet powoduje, że w rodzinach robotniczych coraz większa liczba dzieci w wieku przedszkolnym zostaje przez większą część dnia bez opieki, t. zn. wychowuje się na ulicy. Również dla szerokich warstw pracującej inteligencji należyte zorganizowanie opieki nad małem dzieckiem stanowi trudny do rozwiązania problemat, gdy oboje rodzice pracują poza domem, a służąca jest tylko wspomnieniem z czasów ich dzieciństwa.

Konieczność zapewnienia opieki wychowawczej dzieciom, których rodzice zbyt wiele czasu poświęcają pracy zawodowej, aby skutecznie podołać temu zadaniu, nie jest bynajmniej jedynym motywem organizowania przedszkoli. Mało kto uświadamia sobie, jak wielkie znaczenie mają one dla rozwoju umysłowego dziecka i dla późniejszej jego pracy w szkole. Badania, przeprowadzone w szkołach powszechnych warszawskich przez p. Grzywak - Kaczyńską, dostarczyły bardzo cennego materjału, pozwalającego stwierdzić, że wśród dzieci, które przed wstąpieniem do szkoły powszechnej uszęczczały do przedszkoli, liczba opóźnionych w rozwoju umysłowym jest trzykrotnie mniejsza, niż wśród dzieci, które nie przeszły przedszkola, natomiast liczba zaawansowanych w rozwoju ponad wiek, jest odpowiednio większa. Całkowita doniosłość tego stwierdzenia uwydatni się dopiero, gdy uwzględnimy związek między poziomem rozwoju umysłowego dzieci szkolnych a zjawiskiem drugoroczności — i gdy uprzytomnimy sobie jednocześnie olbrzymi odsetek drugorocznych w naszych szkołach powszechnych (ok. 25%). Drugoroczność przybrała u nas rozmiary klęski społecznej, ponieważ masy dzieci, powtarzających niższe oddziały, zamykają dostęp do szkoły wchodzącym w wiek obowiązku szkolnego.

W świetle należycie zorganizowanej sieci przedszkoli staje się sprawa pierwszorzędnej wagi. o podwójnem znaczeniu — zarówno z punktu widzenia opieki społecznej, jak od strony interesów szkolnictwa.

Ustalmy zatem potrzeby, istniejące w tej dziedzinie. Według przybliżonego obliczenia, opartego na cyfrach urodzin i śmiertelności. mamy w Polsce około 3 milionów dzieci w wieku przedszkolnym, t. j. od lat 3 — 6. Z tej liczby na miasta przypada mniej więcej około ¾ miljona dzieci, na wieś ok. 2¼ milj.

Tymczasem. jak wynika z ostatnio ogłoszonych przez Główny Urząd Statystyczny danych, w roku szkolnym 1931/32 w całej Polsce istniało 1920 przedszkoli, obejmujących ogółem niewiele ponad 100 tys. dzieci — czyli około 3% ogólnej liczby dzieci w wieku przedszkolnym. Odsetek ten dla miast wynosi niespełna 9% (ok. 66 tys. dzieci), dla wsi — zaledwie nieco ponad 1.5% (ok. 38 tys. dzieci).

Rozpatrując się bliżej w danych Głównego Urzędu Statystycznego, przedewszystkiem spostrzegamy. że niektóre ośrodki kraju posiadają stosunkowo dość znacznie rozwiniętą sieć przedszkoli, gdy inne są ich prawie całkiem pozbawione. Na pierwsze miejsce wysuwa się Śląsk. o przeszło 260 przedszkolach. mieszczących 16 tys. dzieci. Ponieważ aż do ubiegłego roku szkolnego obowiązkiem szkolnym objęte były dzieci, poczynając od 6-go roku życia, stopień objęcia przedszkolami dzieci w wieku przedszkolnym na tym terenie obliczać można w przybliżeniu na około 18%. Poza Śląskiem większego wysiłku dokonały: Warszawa (130 przedszkoli, około 9 tys. dzieci), woj. Kieleckie (265 — na 18 tys. dzieci) i poznańskie (217— na 12.5 tys. dzieci). Zupełnie odmienny obraz przedstawiają ziemie wschodnie: w woj. nowogródzkiem mamy zaledwie 23 przedszkola, liczące ok. 650 dzieci. w woj. poleskiem — 20 przedszkoli, z 580 dziećmi. Niewiele lepiej jest w woj. białostockiem, wileńskiem i wołyńskiem, a nawet w lubelskiem. a także w stanisławowskiem i tarnopolskiem. Przytem tylko dwa województwa śląskie i kieleckie — pochwalić się mogą znaczniejszą liczbą przedszkoli na wsi.

Drugiem — obok nierównomiernego rozmieszczenia — wysoce charakterystycznem zjawiskiem jest przewaga liczebna przedszkoli prywatnych nad publicznemi. 1254 przedszkola, t. j. prawie ⅔

ogólnej ich liczby, to zakłady prywatne, z pozostałych — 11 utrzymuje państwo, a 655 samorząd terytorjalny. Przedszkola publiczne są naogół w gorszych warunkach niż prywatne, na jedną wychowawczynię przypada bowiem w publicznych ok. 50 dzieci, gdy w prywatnych tylko 35. Jest to zupełnie zrozumiałe wobec faktu, że przedszkola publiczne są bezpłatne lub pobierają opłaty minimalne, podczas gdy w przedszkolach prywatnych nierzadkie są opłaty po 300 i 400 zł. rocznie. Oczywiście, mało jest takich, którzy mogliby sobie pozwolić na posyłanie dzieci do tak kosztownych zakładów.

W tych warunkach przedszkola prywatne — z wyjątkiem nieznacznej stosunkowo liczby utrzymywanych przez organizacje społeczne i filantropijne, służą prawie wyłącznie warstwom zamożniejszym, nie przyczyniając się w niczem do rozwiązania zagadnienia opieki wychowawczej nad dzieckiem, pozostawionem ulicy, ani do podniesienia poziomu umysłowego, tego dziecka przed jego wstąpieniem do szkoły powszechnej. To też stopień ogarnięcia przedszkolami dzieci robotniczych nawet w miastach, posiadających znaczniejszą liczbę zakładów tego typu, jest znikomy. Spośród 217 dzieci w wieku przedszkolnym w 343 zbadanych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego rodzinach robotniczych Warszawy, Łodzi i Zagłębia Dąbrowskiego, uczęszczało do przedszkoli zaledwie 9.

Dla postawienia sprawy wychowania przedszkolnego na właściwym poziomie niezbędne jest wydatne zaangażowanie się w tej dziedzinie czynników publicznych, t. j. państwa i samorządu. Póki organizacja przedszkoli pozostawiona będzie inicjatywie prywatnej, nie można spodziewać się zaspokojenia istniejących potrzeb w szerszej niż dotychczas mierze. Samorząd naogół nie wykazał dotychczas należytego zainteresowania tą sprawą. Zrzucanie odpowiedzialności za ten stan rzeczy na brak środków nie znajduje uzasadnienia. Przykład samorządu śląskiego i kieleckiego dowodzi, że nawet w obecnej ciężkiej sytuacji rozwiązanie tego zagadnienia nie nastręcza przeszkód niepokonalnych. Przy dobrej woli i stałym, systematycznym wysiłku samorządy — zwłaszcza na terenie miast — mogą w ciągu kilku lat osiągnąć poważne wyniki i zaspokoić najpilniejsze, najbardziej palące potrzeby.

Oczywiście, całkowita realizacja tego zadania przekracza siły samorządów — konieczna tu jest wydatna pomoc państwa. Niezmiernie też pocieszający jest fakt uwzględnienia kwestji przedszkoli w nowej ustawie o ustroju szkolnictwa, której art. 4 przewiduje udział państwa w organizowaniu i utrzymywaniu przedszkoli. W tej chwili art. ten pozostaje wprawdzie martwy — państwo zbyt jest zajęte troską o dostarczenie miejsca w szkole powszechnej nadmiernie licznym rocznikom dzieci, wchodzącym w wiek obowiązku szkolnego, aby mogło poświęcić należytą uwagę omawianej sprawie. Jednak po uporaniu się z obecnemi trudnościami na odcinku szkolnictwa powszechnego państwo niewątpliwie przystąpi do realizowania tego punktu ustawy i przedszkola staną się wreszcie — po długim okresie obojętności — przedmiotem czynnego zainteresowania ze strony Ministerstwa W. R. i O. P. Oby się to stało jaknajprędzej!

Dopóki zaś oczekiwany zwrot nie nastąpi, w miarę wszystkich sił swoich — podkreślamy to raz jeszcze — winny się zająć organizacją przedszkoli samorządy wszelkiego rodzaju: miejskie, wojewódkie, powiatowe i gminne, a także — organizacje społeczne.

SPRAWY SPOŁECZNE

PACZKI ŚWIĄTECZNE.

Bezrobotni, korzystający z obiadów, dostarczonych przez Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej, na święta otrzymali paczki żywnościowe z odpowiednią ilością wiktuałów na wigilję i dwa dni świąt, w których kuchnie były nieczynne. Ogółem wydał Komitet paczek blisko 16 tysięcy.

CHOINKI DLA DZIECI.

W świetlicach Sekcji Pomocy Matce i Dziecku O. K. P. S., jak co rok, urządzone zostały choinki na Woli, Pradze i Ochocie. Dzięki uprzejmej i wydajnej pomocy pań Chmielewskiej, Kozłowskich, drowej Wieczorkiewiczowej i J. Chrząszczewskiej, zdołano zgromadzić znaczną ilość darów, która pozwoliła obdzielić wszystkich małych uczestników zabawy. Zwracała uwagę estetyczna strona choinek i — poprostu zdumiewała wysoka kultura tych dzieciaków bezrobotnych, a więc chowających się w najcięższych warunkach. Niewymuszona wesołość i — spokój, porządek. Nowe pokolenie.

SAMORZĄDY I OPIEKA.

Jeszcze raz Ministerstwo Opieki Społecznej zwraca uwagę samorządów na konieczność współdziałania z instytucjami innemi w sprawach opieki społecznej i zdrowia. Jak dotąd, niestety, to współdziałanie nie rozwinęło się w należyty sposób.

USTAWA O UBEZPIECZENIACH SPOŁECZNYCH.

Nowa ustawa o ubezpieczeniach społecznych na podstawie postanowienia Rady Ministrów wchodzi w życie w dniu 1 stycznia.

OPIEKA OTWARTA.

Ministerstwo Opieki Społecznej wydało okólnik do wojewodów, wzywający do położenia nacisku na zagadnienie opieki otwartej. Dotąd w naszych zakładach zamkniętych jest około 37 tysięcy dzieci. Ogromna ich ilość natomiast pozostaje zupełnie bez opieki. Ministerstwo pragnie, aby zakłady opiekuńcze stały się ośrodkami opieki otwartej, by przy nich wydawano żywność dla dzieci, dla których niema miejsca w zakładach. W ten sposób można byłoby ogarnąć pomocą znacznie szersze sfery, niż dotąd.

Do sprawy tej jeszcze wrócimy, jako do niezmiernie ważnej. Już dziś wszakże można powiedzieć, że krok ten stanowi jakoby dalszy ciąg akcji, zainicjowanej przez powołanie do życia instytucji Opiekunów społecznych, akcji

tak niedocenianej na terenie Warszawy, a przyjętej bardzo przychylnie przez cały niemal kraj.

Ostatni okólnik Ministerstwa Opieki Społecznej bezwarunkowo postawi na porządku dziennym sprawę fachowego szkolenia opiekunów i całego personelu, niezbędnego do tej nowej pracy.

DORAŹNA POMOC DLA KRESÓW.

Z zadowoleniem stwierdzamy, że Rada Ministrów już zajęła się zagadnieniem doraźnej pomocy dla ludności kresowej. Nieurodzaj ziemniaków sprawił, że przednówek tam w bieżącym roku nadejdzie znacznie wcześniej niż normalnie. Plan pomocy został ułożony w ten sposób, że uprzedzi klęskę głodu. Szczegółów jego jeszcze nie mamy. W każdym razie musimy jeszcze raz podnieść, że instytucja Opiekunów społecznych i w tym wypadku może oddać kolosalne usługi. Czy zda należycie egzamin — to inna sprawa. Całość akcji jednak niewątpliwie przyczyni się do jej usprawnienia.

OBNIŻKA KOMORNEGO.

Związki lokatorskie wystąpiły ponownie do rządu i Sejmu z memorjałami domagającemi się obniżki komornego o 25 proc. w domach nowo - wybudowanych i o 30 proc. w domach podlegających dotąd ustawie o ochronie lokatorów.

Jeżeli chodzi o domy nowowybudowane, to żądana obniżka komornego może nawet całkowicie usprawiedliwiona ze względu na wzrost wartości pieniądza, poprostu znaczną ilość właścicielów domów skazałaby na niewypłacalność. Tylko wysokie komorne umożliwiało im budownictwo w okresie drożyzny. Obniżce komornego musiałaby zatem towarzyszyć redukcja długów budowlanych. Z tego powodu wystąpienie lokatorów nie jest postulatem realnym w obecnej chwili.

To też memorjał ich traktować należy jedynie jako znak czasu — jako dalszy dowód, że stosunek do domów, jako do źródła dochodów, już należy do przeszłości. Z jednej strony tendencje, jakie się objawiają w cytowanym memorjale, zabijają inicjatywę prywatną — z drugiej — konieczność dostarczenia dachu nad głową staje się zagadnieniem społecznem.

Sprawę tę poruszał już na naszych łamach p. Roth i nieraz jeszcze będziemy musieli do niej powrócić.

KONIEC PROHIBICJI.

Ostatecznie poprawka prohibicyjna, zakazująca wyrobu i spożywania alkoholu na terenie Stanów Zjednoczonych została zniesiona. Obecnie ogłaszają wyniki prohibicji. Około 40 tysięcy zabitych w walkach z przemytnikami. Niespełna 4 tysiące przestępców przeciwko temu prawu siedzi w więzieniach. Prohibicji wyrzekły się zatem prawie wszystkie kraje, które ją wprowadziły. Nie wyrzekły się przecież pewnych ograniczeń w dziedzinie sprzedaży alkoholu i te ograniczenia zostaną.

Wiadomość o zniesieniu prohibicji, a może nie tyle o samem jej zniesieniu, co o fakcie, że państwa odczuły swą bezsilę w walce frontowej z alkoholizmem, cały świat kulturalny musi przyjąć z najwyższym niepokojem. To jest klęska kultury, jedna z największych klęsk, jakie spotkały ją w latach ostatnich. Świadomość tego musi wzmocnić natężenie walki społecznej z alkoholizmem na całym świecie. Alkohol wytępił już całe narody — z całych ras pozostawił szczątki. Alkohol u nas degeneruje ludność w sposób tak potworny, że tylko ślepiec może tego nie spostrzegać. Alkohol niszczy podstawy moralne w życiu społecznem i rodzinnem. Środki walki z nim dotąd stosowane stanowczo nie wystarczają.U nas jest to sprawa lekarzy i moralistów. Mamy wrażenie, że dopiero wtedy znajdą się odpowiednie środki na tę akcję, gdy zorganizujemy dla niej podstawy finansowe.

Są interesy gospodarcze, które można w tym kierunku zmobilizować. Wytwórnie napojów bezalkoholowych, mleczarstwo, cukrownictwo, księgarstwo, czasopiśmiennictwo, przemysł radjowy — wszystko to jest bezpośrednio w akcji antialkoholowej zainteresowane, gdyż alkohol zmniejsza wybitnie spożycie wszystkich tych artykułów. A ruch oszczędnościowy, a PKO, spółdzielczość kredytowa i spożywcza?

Porażka prohibicji musi być, powtarzamy, podnietą do dalszej walki i walki bezwzględnej.

* * *

Jak wiadomo, pobudką główną do zniesienia prohibicji w Stanach Zjednoczonych była niemożność walki z przemytem, który ogarniał szerokie sfery społeczeństwa. Niektórzy publicyści zwracają przecież uwagę, że wysokie podatki podniosły cenę alkoholu tak poważnie, że przemyt da towar tańszy i dalej będzie prosperował.

„CAŁKOWITE' PAŃSTWO.

Istnieje tendencja na świecie oddania państwu wszystkiego. Za ustrojem politycznym, organizacją sądownictwa idą sprawy gospodarcze. Za gospodarczemi — intelektualne — sztuka, religja. Już dziś można mówić o zasadniczych defektach sztuki sowieckiej, w szczególności literatury, których nie zdola się odrobić, bez dania swobody autorom, bez umożliwienia swobodnego tworzenia. Co do religji — Sowiety poprzestały na propagandzie bezbożnictwa. W Niemczech obrano drogę inną. Stanęła sprawa kościoła narodowego, germańskiego. Protestantyzm został upaństwowiony niejako.

Proces ten jeszcze się nie zakończył i bodaj że się nie zakończy po myśli rządu. Człowiek nie tak łatwo pozwala sobie wedrzeć się w duszę. Człowiek godzi się na kompromisy z sumieniem — niechce się przeciez wyrzec sumienia, bodaj — na święto. Coraz mocniej zarysowuje się protest przeciwko upaństwowieniu wyznania ze strony duchowieństwa. Katoliccy kapłani za swe przekonania znoszą już więzienie — protestanckich zdaje się czeka w niedługim czasie to samo.

Jednocześnie objawia się ruch ku wykoncypowaniu nowej religji, „rasowej", w której pierwiastki chrześcijańskie zostałyby przytłoczone przez pogaństwo.

Uniwersalizm chrześcijański jest dla hitlerowców zbyt „żydowski". Zdaje się jednak, że nacjonalizując go, zbliżają się oni właśnie do pogorszonego mozaizmu, który czynniki narodowo - żydowskie podnoszą do godności religijnej, w pojęciu o „narodzie wybranym".

Nie trudno przecież wyśledzić podobne czynniki i w naszych sferach nacjonalistycznych, które oficjalnie nie zrywając z katolicyzmem, przecież ostro przeciwstawiają się wszelkim antinacjonalistycznym wystąpieniom Rzymu — przynajmniej w praktyce.

Wydawnictwa

Marja Dąbrowska: „Przyjaźń". Opowiadanie. Wydanie drugie. str. 81. Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

To powieść dla młodzieży, a raczej o młodzieży, o młodym człowieczku. Ale ten młody człowieczek wie doskonale, że poza jego uproszczonym poglądem na świat jest inny, szerszy — a przecież on musi żyć według swego.

Jest w tem jakieś spojrzenie ogarniające, w którem żyje synteza gotowa — prawdziwsza, niż wyrozumowana. Jest coś — jak owo pierwsze wrażenie, jakiego doznaje człowiek na widok nowej twarzy, wrażenie niemylne, któremu trzeba wierzyć, a które tak strasznie trudno pochwycić, bo się zaciera pod wpływem dociekań, zgadywań narzucających się pod przemożnym wpływem intelektu. Jest umiejętność zbliżania ludzi do siebie ponad ciężkiemi konfliktami, jak gdyby poza niemi drgało coś innego, jakby w ich kanciastym, bolesnym kształcie drgała treść inna — przecież wyczuwalna — niewysłowiona.

„Przyjaźń" to jedna z tych książek, o których można napisać tomy całe, bo rozsadza je — aż tajemnicze w swej wielkości uczucie, bo jest to jakby dokonane doświadczenie, potwierdzające wyniki długich studjów i przemyśleń. Mamy drugie wydanie tej książki — znaczy, że znalazła ona przyjaciół. I rzecz ciekawa—czy pośród młodzieży, czy też pośród dojrzałych? Bo trudno powiedzieć komu do więcej.

Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus): „Samosierra". Opowieść dziejowa. Wydanie trzecie ilustrowane. str. 125. Warszawa. Dom Książki Polskiej.

Ogromny talent Gąsiorowskiego, talent naracyjny występuje tu w całej pełni. Autor chwyta dzieje na gorąco. ich moment, sięga w przyczyny tego momentu, w jego genezę, opowiadając ją barwnie. Wyobraźnia służy mu do wskrzeszenia osób występujących, które powstają przed nami i przeżywają po raz drugi tę chwilę, przeżywają mocno, intensywnie. Poważne studja Gąsiorowskiego zamykają to wszystko w ramach istotnej prawdy — byłej rzeczywistości. W ten sposób powstaje kapitalna scena, w której odradza się i tragizm położenia Hiszpanów i rozterka tego nieszczęsnego, nękanego przez swoich i obcych, przyjaciół i nieprzyjaciół kraju, bezgraniczna ofiarność żołnierza polskiego... Ponad wszystkiem, jak fatum ciąży potężna wola Cesarza - Boga wojny.

To nie jest tylko bitwa — to nie jest tylko opis samej szarży. Nie — to kulminacyjny punkt pewnego etapu zmagań się napoleońskich. Samosierra Gąsiorowskiego to jakaś niesłychana hazardowna próba losu dla samego Napoleona. To moment, w którym miało się rozstrzygnąć, czem on jest? Czy zwyczajnym wojownikiem o poważnej przewadze militarnej, uzbrojonym w duże środki techniczne, wojownikiem zdolnym, ale operującym zwyczajnemi ludzkiemi środkami — czy też straszliwą lawiną, wobec której nic, ani męstwo, ani fanatyzm, ani przyroda sama nic potrafi ocalić śmiałka, który nań rękę podniósł. Tego uroku nieokiełznanej mocy chce Bonaparte. We wściekłej o nią batalji kruszą się pułki i dywizje francuskie.

I wtedy pada owo historyczne: „Naprzód psie krwie, cesarz patrzy!" i niemożliwość się spełnia. Cesarz bogiem wojny zostaje.

Z nielada mistrzowstwem daje nam Gąsiorowski ten niesłychany dramat.

Moglibyśmy wyrazić pewien żal, że Autor nie uzupełnił swego opowiadania przez dokładniejszy opis topograficzny miejscowości (choćby taki, jaki znajdujemy w pamiętnikach Kossaka. Ale i bez tego Samosierra porywa.

Spodziewamy się, że tę drobną lukę zechce Autor uzupełnić w następnem wydaniu swej pracy,

Hugh Dofting: „Doktór Dolitle i jego zwierzęta". Przekład z angielskiego Wandy Kragen pod redakcją Janiny Mortkowiczowej. str. 150. Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Naprawdę trudno znaleźć bardziej czarującą opowieść. Poświęcona ona jest dzieciom i tym dorosłym, którzy zachowali duszę dziecka. Struga słonecznej dobroci płynie z postaci doktora który żyje ze zwierzętami, pomaga im, doznaje od nich pomocy w chwilach kłopotliwych i — nigdy nie traci pogody i spokoju. Przedziwna naiwność i wyobraźnia lotna, mknąca z cudowną beztroską w świat wielki, przestronny, pozwalają autorowi wytwarzać i rozwikływać najwymyślniejsze przygody. A przecież każda postać czy ludzka, czy kacza, czy psia — jest pełna prawdziwego charakteru!

Urocza książeczka.

Tłumaczenie staranne zachowało całą swobodę i prostotę oryginału.

Jest to nabytek cenny naszej literatury.

Andrzej Mazurkiewicz i Aleksander Grużewski: Zagadnienie statystyki wypadkowej ze stanowiska akcji zapobiegawczej. Str. 158. Warszawa 1933. Instytut spraw społecznych.

Po omówieniu genezy statystyki dla celów zapobiegawczych Autorzy przystępują do omówienia zakresu danych statystycznych, niezbędnych do walki z wypadkami przy pracy, poddając rozwadze pojęcia podstawowe i zadania statystyki, mającej służyć akcji zapobiegawczej. Następuje omówienie podziału wypadków podług ich przyczyn, działów gospodarki, według rodzaju, miejsca i skutków uszkodzeń. Specjalne miejsce jest poświęcone t. zw. okresowi wyczekiwania. Uzupełnia studjum rzut wytycznych dla organizacji tego działu pracy u nas. Liczne aneksy dają dokumentalne tło wywodom pożytecznej pracy.

Redaktor i Wydawca: *Adam Uziembło*

Druk. „Nowogrodzka" Warszawa, tel. 680-20